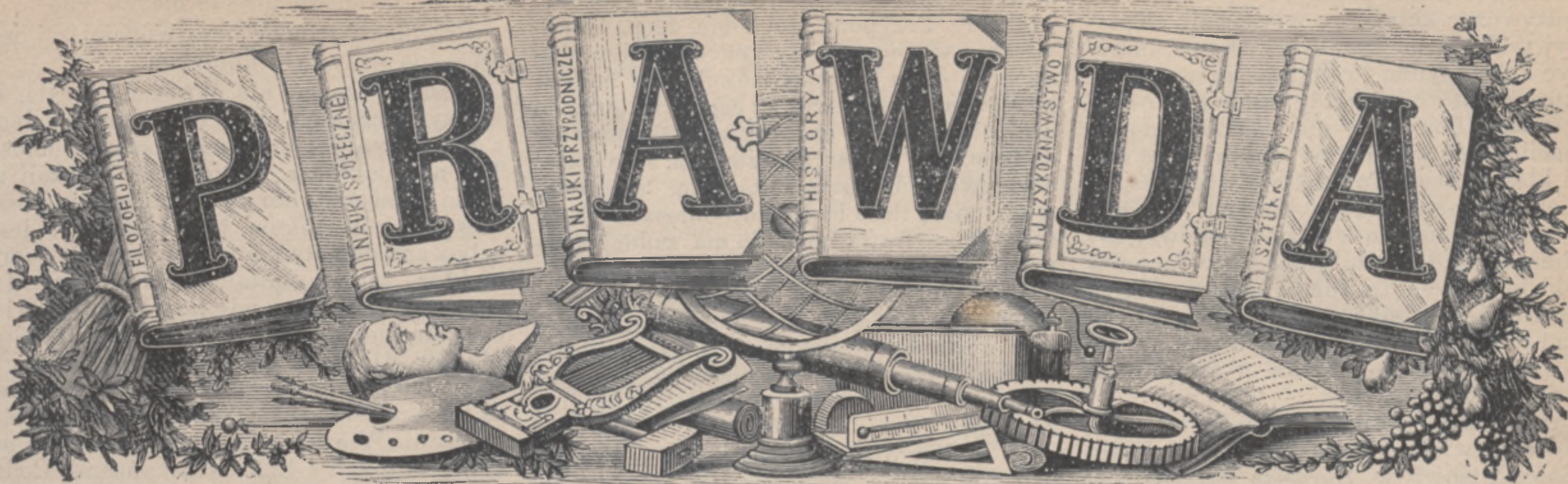
№ 29. Warszawa, dnia 19 (7) Lipca 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

UROCZYSTOŚCI NARODOWE.

Wobec grasującej na południu i groźnej w dalszym rozwoju cholery stanęło przed kierownikami Francyi bardzo poważne pytanie: czy zezwolić na doroczną uroczystość republikańską w Paryżu? Akademia medyczna, powagi naukowe, wreszcie niektóre dzienniki wyraziły obawę, że wielkie zbiorowisko ludzi może źle wpłynąć na zdrowie miasta i spowodować bardzo smutne następstwa. Jakkolwiek zakaz obchodu byłby zupełnie usprawiedliwionym, ministrowie nie mieli odwagi go wydać i bardzo chętnie ustąpili tę sprawę do załatwienia radzie miejskiej. Ale i rada, dostrzegłszy pułapkę, ominęła ją zręcznie, nie powziąwszy żadnej uchwały. Nie pozostało więc rządowi nic innego, jak „zrobić dobrą minę na złą grę" i powierzyć wszystko losowi. Tym sposobem uroczystość odbyła się, a powolni dla niej ministrowie czekają w strachu, czy ona nie zrodzi złych skutków.

Skąd ta chwiejność, ta nieśmiałość w oparciu się ludowi? Wypływa ona z nietykalności wszelkich wspomnień rewolucyjnych. Paradni są czasem ci ministrowie francuscy, przedstawiciele porządku i władzy, dogmatyzujący wszystko, czego dokonała rewolucya. Ściśle biorąc, nie powinni oni przecież być jej bezwzględnymi czcicielami, gdyż w takim razie wyrywają sobie grunt z pod nóg, podsuwając go anarchistom, z którymi walczą, a zarazem znoszą stosunek przyjaźni ze wszystkiemi państwami, z któremi znowu chcą żyć w zgodzie. Rewolucya — to nie sama Marsylianka a nawet zburzenie tronu, lecz krwawe rzezie, pożogi i najgwałtowniejsze przestrogi. Z dobrodziejstwem całego tego inwentarza musi ją przyjmować każdy minister francuski, jeżeli chce zatrzymać swą tekę. Nie wolno mu objawić nawet tyle krytycyzmu, ile go używa najbardziej republikański dziejopis. On musi na nią przysięgać bez zastrzeżeń jawnych. W tym obowiązku, albo raczej, w tym terroryzmie tkwiła właśnie owa bojaźń zakazania obchodu, który mógł sprowadzić na Francyę wielkie nieszczęście. Ferry wolał przywlec do Paryża cholerę, niż podać w podejrzenie swą wierność tradycyom republikańskim.

Przyznać trzeba, że w tym wypadku, jak zresztą w wielu podobnych, francuzi okazali dziwną lekkomyślność. Narażać kraj na nieszczęście dla nieprzerwania łańcucha demonstracyi, do którego już w roku przyszłym nowe ogniwo przyczepić mogli — to coś gorszego niż upór — to płocha nierozwaga.

Gdy na Zachodzie przed obliczem zarazy święcono wspomnienie wolności, jednocześnie na Wschodzie wobec tego samego widma i na świeżych śladach strasznej klęski odbywano procesye na cześć... błogosławionego Jana z Dukli. Kto był Jan z Dukli, przeciętny katolik nie wie i wiedzieć nie potrzebuje, bo mu w właściwym czasie pobożne pisma przypomną, że był to „patron i obrońca Lwowa" zmarły przed ...czterystu laty. Według podania mniej on odznaczył się za życia, niż po śmierci, gdyż „duch jego czuwa (dotąd) nad miastem i dodawał *otuchy* mieszkańcom podczas oblężeń przez kozaków i turków w latach 1648, 1655 i 1672." Niechże tylko czytelnik nie myśli, że te zasługi Jana z Dukli uczcił Kościół, do którego on wyłącznie należy; nie—składał mu swe hołdy naród galicyjski z burmistrzem, z zarządami różnych instytucyi i marszałkiem sejmowym. Jeżeli ma być prawdą, że duch błogosławionego patrona działał w dwa wieki po jego śmierci a nawet „czuwa" dotąd, to nie pytając, czemu nie odwrócił wylewów, sądzimy, że więcej, niż z wyprawionego mu święta, uradowałby się w niebie z widoku swych rodaków na ziemi, energicznie pracujących nad usunięciem skutków klęski. Powolności ich w tej sprawie nie wytłomaczy on chyba sobie inaczej, tylko przypuszczeniem, że Lwów, pozazdrościwszy jubileuszów Krakowowi, wyciągnął z przed wieków swego patrona i zrobił go także bohaterem chwili. Ale Jan z Dukli był zapewne człowiekiem poczciwym, manifestacyj nieżądnym i chętnie podzieliłby się mieniem z biedakami, którzy wcale nie słuli sobie tej nędzy, na której śpią.

Doprawdy można podziwiać ochotę, z jaką lwowianie wyprawili sobie tę lipcówkę, zapominając o koniecznym obowiązku ratowania ofiar powodzi. Że ich burmistrz chciał Janowi z Dukli złożyć srebrny wieniec z napisem: „za prezydentury Wacława Dąbrowskiego" — to łatwo pojąć, gdyż ostatecznie w braku innej i ta ścieżynka prowadzi do nieśmiertelności, ale jakie pobudki skłonić mogły całe miasto do przedsięwzięcia obchodu w tej mierze nieusprawiedliwionego i z nakładem, który do innych, ważniejszych celów winien był się zwrócić? Trzeba się upewnić, że to nie sen, czytając obszerne telegramy o tej uroczystości, która co najwyżej odbyć się mogła w ścianach kościoła.

Ale przecież i francuzi nie zaniedbują świąt narodowych, pomimo cholery! W tem pociecha i wspólność — a różnicę niech sobie sam czytelnik wyprowadzi...

REZULTATY SPISU JEDNODNIOWEGO
m. Warszawy.

I.

Dalszy ciąg wydanych obecnie *Rezultatów spisu jednodniowego* zawiera dwa rozdziały. W pierwszym znajdujemy statystykę zabudowań i taryfę domów naszego miasta, w drugim zaś statystykę mieszkań.

W rozdziale pierwszym mieszczą się naprzód dane o ilości posesyj i o podziale ich między różne kategorye właścicieli. Kategoryj tych jest 5: władza wojskowa, instytucye dobroczynne i religijne, miasto, inne władze rządowe i zakłady publiczne, osoby prywatne. Ponieważ nie podano żadnych objaśnień, nie wiele więc można dojść z owej klasyfikacyi. Tak np. nie wiadomo, do jakiej kategoryi liczono posesye zarządu żandarmeryi, czy do władzy wojskowej, czy do innych rządowych; gdzie ustawiono budynki kolejowe? itp. Już to brak wszelkich objaśnień jest wielką wadą obu wydanych dotąd tomów. Z drugiej znowu strony nie widzimy wielkiego pożytku w owem obliczaniu posesyj.

Przechodząc do ilości zabudowań, spostrzegamy wielkie niedokładności. Jak sam p. Załęski mówi w *Kuryerze warszawskim*, kongresy statystyczne poleciły zwracać uwagę na oddzielne zabudowania i uważać za nie tylko te, które oddzielone są od innych murem, od fundamentów aż do samej góry, albo też które stoją zupełnie osobno. Tymczasem w Warszawie rozróżniano fronty i oficyny, a przecież bardzo często oficyna jest tylko częścią frontu, wychodzącą na podwórze, a przytem wiele bardzo zależy od tego, czy będziemy patrzyli z wewnątrz, czy z zewnątrz posesyi. Za przykład może służyć dom położony między trzema ulicami: Nowym Światem, Smolną i Alejami Jerozolimskiemi, gdzie można naliczyć trzy fronty, albo też z podwórza tylko jeden. Dziwnem też jest podział budynków na fronty, oficyny, budowle nieprzeznaczone do zamieszkania, budki i lepianki, boć przecie front i oficyna mogą być także nieprzeznaczonemi do zamieszkania; podobnież rzecz się ma z budkami i lepiankami. Natomiast wiadomo nam dokładnie, że nawet budynki takie, jak np. młyn, liczono do oficyn, ponieważ w nim nocował pewien parobek. Trudno pojąć także, dlaczego budek i lepianek odszukano tylko 61, gdy prawie w każdym domu można je znaleść; musiano je zatem porozmieszczać w różnych kategoryach, lecz gdzie w takim razie zaliczono budki dla stróżów, których tak sporo w naszem mieście? Taka budka nie jest domem frontowym, ani oficyną, ani też nakonice budowlą, nieprzeznaczoną do zamieszkania. Gdzie też zaregestrowano wagony, z których przemyślni nasi kamienicznicy porobili lokale, a przecież na samej ulicy Ogrodowej w dniu spisu było ich dwa.

Pod względem materyału podzielono budynki na murowane, drewniane, mieszane i żelazne. Przypominam sobie, że p. Makowiecki w odczycie swym dla delegowanych do spisu ludności mówił, aby budynki stawiane z drzewa i cegły zaliczać do drewnianych lub murowanych, stosownie do tego, jaki materyał przeważa. Większość delegowanych poszła za tą radą, czego dowodzi mała ilość budynków mieszanych, bo tylko 26; cyfra ta więc nie ma żadnej wartości.

Ilość nieruchomości z lokalami na poddaszach także nie może być dokładną, ponieważ wielu delegowanych uważało zamieszkałe poddasza za osobne piętro. Z tego wypada, że i ilość lokali na poddaszu też jest za małą.

W tablicy 5 znajdujemy rachunek dziedzińców wraz z podziałem ich na wyasfaltowane, wybrukowane i niewybrukowane. Należało przytem wskazać, do której kategoryi włączono podwórza zabrukowane tylko w połowie, lecz i tu, jak wszędzie, nie podano żadnych objaśnień, i tylko od siebie mogę czytelników zapewnić, iż stosownie do przewagi przestrzeni brukowanej lub niebrukowanej zapisywano je do tej lub innej kategoryi.

W liczbie nieruchomości bez mieszkań wykazano 11 placów niezabudowanych, co może bardzo zdziwić tego, kto nie wie, iż tylko taki plac uważano za niezabudowany, na którym nie było nawet budki lub lepianki dla stróża.

Po co pomieszczono tablicę 8, przedstawiającą porządek cyrkułów podług ilości średniej mieszkań i mieszkańców na jedną nieruchomość, nie wiem, bo te dane znajdują się już w tabl. 6 i 7.

Do rozdziału pierwszego, o którym dotąd mówiłem, dodano taryfę domów z oznaczeniem numerów hypotecznego i policyjnego, nazwy ulicy, ilości lokalów i mieszkańców w każdym domu. Taryfa ta, zajmująca 46 stronnic druku, nie ma żadnej wartości, bo co komu z tego przyjdzie, iż się dowie, ilu mieszkańców lub ile lokali było w danym domu podczas spisu, a sam wykaz, ułożony w daleko praktyczniejszy sposób, znajdziemy prawie w każdym kalendarzu. Taryfa ta pierwotnie miała służyć dla komitetu sanitarnego i wcale nie była przeznaczoną do druku, dopiero później zdecydowano się ogłosić ją; na co jednak przydała się komitetowi, nie mogę wcale odgadnąć, bo przecież lokale bywają najrozmaitszej wielkości, a zatem z zestawienia ich ilości z ilością mieszkańców nic nie można wnosić.

Przejdźmy jednak do najważniejszej części — do statystyki mieszkań.

Podczas spisu nie określono wcale, co należy rozumieć pod osobnym lokalem, z czego wynikła najzupełniejsza dowolność. Tak np. niektórzy fabrykanci uważali za jeden lokal nietylko swoje mieszkanie, lecz i swych robotników i oficyalistów, jeśli tylko znajdowały się w tym samym domu; niektóre znowu szpitale (np. Dzieciątka Jezus) wszystkie swe sale liczyły za jeden lokal. Stąd mamy tam w 7 lokalach 1173 osób (str. 61), inne zaś (np. szpital ewangelicki) każdą salę uważały za osobny lokal, to też znalazło się tam 25 lokali z 99 mieszkańcami. Więzienie na ulicy Dzielnej ma tylko 20 lokali z 1225 mieszkańcami. Podobna dowolność bardzo zmniejsza wartość cyfr tego rozdziału.

W klasyfikacyi lokalów według piętr 0.28% nie ma oznaczonego piętra. Co do położonych na kilku piętrach, to zaliczano je do tego, na którem znajdowała się największa ilość izb tego lokalu, lecz w tekście nie ma o tem wcale wzmianki.

Odnośnie do lokalów, złożonych wyłącznie z ciemnych izb, muszę zastrzedz, iż po większej części są to małe sklepiki, w których zwykle nikt nie mieszka, a zresztą nawet i mieszkalne lokale bez okien mają drzwi szklane na podwórze lub ulicę.

Podług przeznaczenia podzielono mieszkania na prywatne (winno być niezajęte przemysłowo), zajęte przemysłowo, dla wspólnego pobytu i niewynajęte, choć ta ostatnia kategorya chyba niema takiego przeznaczenia. Do mieszkań dla wspólnego pobytu zapisano hotele, szpitale, ochrony, chedery, bóżnice, więzienia, szkoły, kwatery dla uczniów (sic!) itp. Na nieszczęście jednak nie podano osobno cyfr o każdym rodzaju tych lokali, przez co nie można się nawet niczego dowiedzieć o ilości chederów, ich wielkości itp.

Przy obliczaniu cyfry mieszkańców w lokalach, otrzymano o 3.776 osób więcej, aniżeli w tomie pierwszym, co powstało stąd, iż niektóre osoby były liczone dwa razy (np. raz w swym lokalu, a drugi raz w szpitalu lub areszcie), a zarazem podano pewną ilość żołnierzy, pominiętą w tomie pierwszym. Już to z wojskiem wcale się nie powodzilo sekcyi statystycznej, jak

---

3)

KARDYNAŁ

przez

Zofię Junghans.

W tej chwili zapukano do drzwi; Piero poszedł wyjrzeć i przyniósł wiadomość, że Tommaso Lupi niecierpliwie czeka, by go wpuszczono.

Riario zmarszczył czoło; rozkazał wprowadzić artystę, ale przyjął go nieco zimno i wyniośle.

Tommaso, nie mówiąc wiele, rozłożył rysunki swoje na stole. Zaledwie kardynał rzucił na nie okiem, rozjaśniło się jego oblicze. Pochylony nad papierem, obu rękami na stole oparty, przypatrywał się długo, potem odwrócił się nagle i porywając artystę w objęcia, zawołał z uniesieniem:

— Cudowne, niezrównane!

— Miałem nadzieję, że szkice moje zasłużą na łaskawe spojrzenie waszej eminencyi — rzekł Tommaso z uśmiechem dumy. A zapewniam, że samo dzieło, jeśli mi święci zdrowia użyczyć raczą, dziesięćkroć piękniejszem będzie, niż tego po rysunku spodziewać się można.

— Cicho, cicho, Tommaso! Przyrzekacie zbyt wiele! — zawołał Riario, pogrążony na nowo w zachwyt nad szkicem.

— Nie więcej nad to, czego się spodziewam dotrzymać — odrzekł Maso.

Artysta wykonał kilka rysunków. Na jednym było całe naczynie w takim rozmiarze, jaki mu nadać miano w rzeczywistości. Sam kształt jego był nieporównany ze względu na wdzięk i piękność. Ze szczególnem jednak zamiłowaniem wypracował bogate ozdoby, umieszczone w około podstawy przepysznego sprzętu. Dla dokładniejszego okazania cudownych arabesków, Maso narysował je częściowo w większych rozmiarach na osobnych arkuszach.

Kardynał, jak prawdziwy znawca, zaczął się teraz przypatrywać każdej z oddzielnych części.

— I te zachwycające, delikatne zarysy mogłyżby się dać wykuć młotkiem? — zawołał z niedowierzaniem.

— W moim ręku młotek dokonać tego może — odrzekł Tommaso.

Po chwili Riario z większem jeszcze zajęciem zatrzymał się nad jednym z rysunków. Przedstawione na nim było ucho naczynia w powiększonym rozmiarze; w samym jego środku, jakby na zakończenie z obu stron idących kołem wieńców, umieszczoną była główka kobieca; artysta myśl swoją w taki wyraził sposób, że wieńce opadały z ramion tej postaci.

Zachwycająca twarzyczka tej główki, jako sprzeczność w stosunku do innych ozdób, które mistrz w czysto klasycznym utrzymał stylu, odznaczała się charakterystyczną indywidualnością.

— Cudowna główka!

Kardynał ściągnął czarne, piękne łuki brwi i podniósł w górę arkusz, trzymając go, jak czynią ludzie, mający niezbyt dobre oczy. Nie patrząc na artystę mówił dalej:

— Pewnie także wyjęta ze studyów waszych nad starożytną dokonanych sztuką, Tommaso?

— Nie, to nowoczesne studyum — objaśnił Maso krótko.

— Jak mam to rozumieć? — spytał Riario z grzecznem naleganiem. Taka główka znajduje się może na obrazie którego z naszych mistrzów?

— Nie mam zwyczaju zapożyczać się w podobny sposób, miłościwy panie — odrzekł dumnie artysta. Sam przy zdarzeniu zbieram wzory z natury.

— Jak to! Takie oblicze nimfy znajduje się w rzeczywistości za dni naszych? Wyznajcie, Tommaso, że tu wasz smak estetyczny dodał piękności więcej niż wdwójnasób!

Tommaso skłonił się tylko, pozostawiając w ten sposób kardynała — może z pewnem niezadowoleniem jego eminencyi — przy takiem przypuszczeniu.

o tem czytelnicy łatwo mogą się przekonać z mej oceny tomu pierwszego*).

Po co zrachowano ogólną ilość okien we wszystkich mieszkaniach, nie wiem, a tem dziwniej wygląda taki wykaz, iż pominięto zupełnie podział mieszkań według ilości izb i okien współcześnie, uwzględniając zarazem i ilość mieszkańców, a przecież taka tablica mogłaby nam dać bardzo wierne wskazówki co do natłoczenia lokalu.

Podobnież wielkiego pożytku nie przynienie ogólne zsumowanie izb we wszystkich lokalach, albowiem podano tu i wszystkie lokale wynajęte, choć niezamieszkałe, jako to: sklepy, biura itp., a zarazem nie uwzględniono ilości okien w różnej kategoryi izb, co mogłoby dać pojęcie o ich rozmiarze.

Wobec takiego pomieszania sklepów z lokalami mieszkalnymi tracą wartość obliczenia, ile osób przeciętnie wypada na jedną izbę. Te nieszczęśliwe sklepy prawie wszystkim cyfrom rozdziału drugiego odejmują znaczenie.

Rozdział więc ten przedstawia się nam jeszcze gorzej, aniżeli pierwszy, który znowu nie zawiera nic bardzo ciekawego. Słowem wartość tomu drugiego jest znacznie mniejszą, aniżeli pierwszego.

Sposób taki opracowania statystyki mieszkań dziwi mię wielce, albowiem dokładnie mi wiadomo, iż sekcya statystyczna znacznie lepiej obrobiła tę część, i dopiero przy układaniu jej do druku porobiono tak niefortunne tablice. Nie twierdzę jednak wcale, aby tablice rękopiśmienne wolne były od zarzutów, i to bardzo ważnych; przeciwnie wiem o nich dobrze, lecz zarazem widzę wyższość ich o całe niebo od tego, co wydrukowano. W następnym numerze postaram się przedstawić czytelnikom ciekawsze dane, zawarte w tomie drugim *Rezultatów*, ale według tablic rękopiśmiennych, bo streszczanie tego, co wydrukowano, nie przyniosłoby żadnego pożytku.

Stanisław Bienias.

*) Patrz nr. 47 i 48 r. z.

HENRYK SIENKIEWICZ
(LITWOS).

III.

Jestem przekonany, że gdyby pan Jan na Łysempolu Łysopolski, najczystszej krwi i najtwardszego karku karmazyn, wyjechał do Ameryki, gdyby przyjrzał się potędze tego kraju i owocom jego cywilizacyi, rosnącym nie na tem drzewie, które szczepi ręka szlacheckich Lewitów — z pewnością pod pierwszem wrażeniem napisałby do żony w liście: „tu świat przewrócony; gospodarują chamy, ale lepiej niż u nas hrabiowie.“ Nic dziwnego przeto, że człowiek młody, wrażliwy, ukształcony, który jeszcze nie był w prasie rezydentem stańczyków i z rąk wielkopańskich nie otrzymał wawrzynów, że Sienkiewicz — jak większa część belletrystów — pisarz bez stałych *zasad**), tylko *z upodobaniami*— uległ silnemu wpływowi otoczenia i zdemokratyzował się. Jakoż w *Listach* drwi on i z „l' abbé Wylizalskiego“ i z „chevalier Zielonogłowskiego“ i z „hrabianki Pipi“ i z „ślepego i spróchniałego konserwatyzmu, który na widok lada czego, na widok, dajmy na to, nowo wynalezionych przez panią Ćwierciakiewicz naleśników kiwa gdzieindziej głową i mówi: mój Boże, za moich czasów nie jadaliśmy naleśników a jednak itp.“ Anglia wydaje mu się „krajem nieprawdopodobieństw,“ gdyż tam „np. arystokracya ma rozum,“ a opisując przejazd przez Atlantyk, powiada: „Nie choruję, ale czuję zawrót głowy i *ogłupienie, posunięte do tego stopnia*, że gdyby to był stan *normalny* mego umysłu, mógłbym *odznaczyć się* nawet w kółkach ultrakonserwatywnych *à tout prix*.“ Jeżeli „l' abbé“ *Słowa* i „ultra-konserwatywni“ regimentarze tej gazety, między którymi zapewne znajdzie się niejeden „chevalier Zielonogłowski,“ czytali wówczas te i tym podobne przygryzki Sienkiewicza, myśleli niezawodnie, że w nim wyrasta „zakała“ literatury i nowy jej szkodnik, znieważający „wszystko, co święte itd.“

Przypuszczenie takie potwierdzić mogła nadesłana z Ameryki powieść, która jest jednym z najpiękniejszych utworów piśmiennictwa naszego, która narobiła dużo wrzawy i stała się dla autora pierwszą świetną wróżbą — *Szkice węglem*. Muza tu jedną połową twarzy serdecznie się śmieje drugą — również serdecznie płacze. Pisarz gminny Zołzikiewicz, wioskowy Don Juan, pilny czytelnik *Barbary Ubryk* i wyzyskiwacz głupoty swego zwierzchnika, rzucił pożądliwem okiem na piękną Rzepowę. Chcąc pozbyć się jej męża, wydobywa intrygą z pijanego piśmienne zobowiązanie zaciągnięcia się do wojska w zastępstwie za syna wójta. Biedny chłop, wytrzeźwiwszy się, rozpoznaje pułapkę, z której wyjścia nie widzi. Nieszczęśliwa jego żona żebrząc kolejno pomocy w sądzie, na plebanii, we dworze, w powiecie, i zewsząd odprawiona z niczem, użyła w rozpaczy ostatniego, podsuniętego jej środka: ofiarowała się pisarzowi gminnemu za „papier“ i zginęła pod toporem męża. Jeżeli przypomnimy sobie czas (1877), epokę gospodarki pisarzów gminnych, brojących bezkarnie pod firmą głupoty ciemnych wójtów i jeżeli uwzględnimy tę ostrą skargę na obojętność, odczytaną po świeżej ruinie „inteligencyi wiejskiej,“ przyznać musimy dużą śmiałość w zapaleniu przewodniej myśli utworu i wielką jej żywotność. Ale i ta śmiałość i ta żywotność prześlizgnęłyby się wierzchem literatury bieżącej, gdyby im nie nadał siły talent. Mimo wielu usterek i zbytniej pobieżności w wykonaniu, *Szkice węglem* uwydatniają go w każdym rysie. Co za pyszne są sceny w kancelaryi gminnej, gdzie np. wójt, w przystępie poczucia swej władzy, otrząsa się na chwilę z przewagi pisarza, ale pokornieje szybko, skoro ten zagroził, że gdy się usunie z urzędu, „będzie wam ciepło, aż przez aksamit drąg poczujecie.“ Podobnież rozprawy polityczne chłopów w karczmie, wywód jednego z nich na podstawie znanej pieśni religijnej, że „pierwszy rodzic“ miał „na przezwisko — *skruszyła*,“ dwa raporty gminne: wójta, zaczynający się od „W imię ojca i syna“ a pisarza od: „Tak jak,“ zaloty Zołzikiewicza, wędrówka Rzepowej — wszystko to są obrazki kreślone z głębokim humorem na tle łzawego smutku. „Inteligencyi wiejskiej“ płaci autor sarkazmami obficie. Znękana chłopka poszła do kościoła, spodziewając się tam doznać pociechy. „Było już po ewangelii, teraz zaś, nie wiem już zresztą z jakiego powodu, ksiądz Czyżyk mówił (ludowi!) o średniowiecznej herezyi Catharów i tłomaczył swoim parafianom;

*) Z wielu dowodów przytoczymy jeden. Gdy rozwinęła się zeszłego roku polemika między *Nowinami* a *Prawdą* w sprawie stosunku oświaty do moralności, *Słowo* Sienkiewicza stanęło przeciw nam, twierdząc za Prusem, że wiedza nie wpływa wcale na uobyczajenie. A przecie tenże Sienkiewicz w jednym ze swych *Szkiców amerykańskich* (II, 252) dawniej napisał: „Ze *wszystkich prawd* społecznych *najmniej* podpada wątpliwości ta jedna, że rozwój oświaty prowadzi za sobą rozwój moralności.“

— To prawda, że tam gdzie się jakieś piękno znajduje — mówił dalej Riario, z dobrodusznym uśmiechem—wy, artyści, szczególnie bywacie uprzywilejowani, i nim inny nadejdzie, uprzedzicie go zawsze. Lecz że się to dzieje *ad majorem artis gloriam*, my wszyscy ganić was za to nie mamy prawa. Wam szczególnej życzę, aby mianowicie w chwili obecnej, gdy cudownego dzieła dokonać macie ku waszej, a pozwólcie mi mniemać, że w części i ku mojej sławie, przyświecały wam najpiękniejsze oczy. Ha, uśmiech wasz mówi mi, że to życzenie zbytecznem było. Nieprawdaż, Tommaso?

— Waszej eminencyi wiadomo—odrzekł powściągliwie Maso — że milczenie jest bóstwem szczęśliwych.

Kardynał z uśmiechem pochwalił odpowiedź. Następnie pragnął dowiedzieć się stanowczo, którego dnia rzeźbiarz miał rozpocząć.

— Potrzeba, aby wam na niczem koniecznem nie zbywało. Czy wasza pracownia jest dogodną, macież w niej wszystko pod ręką?

Mistrz odrzekł, że ma wszystko, czego mu potrzeba, a przytem, dzięki wspaniałomyślności kardynała, zaopatrzyć się może w to, czego by mu zabrakło.

— Skoro będziecie potrzebowali pieniędzy, niech wam mój marszałek dworu wypłaci sumę równą poprzedniej. Możecie się w każdym czasie zwracać do mojej kasy, dokąd dla mnie pracujecie. Powiedzcież mi, gdzie się mieści wasza pracownia — na przypadek, jeśliby mi czas pozwolił odwiedzić ją kiedy.

— Model z gliny przygotuję w większym moim warsztacie przy Porta San Gallo— odrzekł Tommaso, prosiłbym jednak waszą eminencyę o powstrzymanie się do czasu, który sam oznaczę. Nie chciałbym ukazywać modelu na pół wykończonego.

— Stanie się zgodnie z życzeniem waszem — odrzekł uprzejmie Riario, a ja niecierpliwość moją powstrzymać potrafię. U Porta San Gallo, mówicie? O ile przypominam sobie, zdaje mi się, że sługa mój w innem odnalazł was miejscu?

Tommaso, z wewnętrzną niechęcią, z której nie potrafiłby sobie zdać rachunku, wyznał, że miał inną pracownię na Cerco degli Albizzi. Na to odrzekł kardynał, że to głucha część miasta, w której, chociaż urodzony we Florencyi, z trudnością by znalazł drogę, tem bardziej, że od lat wielu nie zdarzyło mu się być w tamtej stronie.

Więcej jeszcze z siebie nawzajem zadowolnieni, niż po pierwszem widzeniu, rozstali się z sobą. Na prośbę kardynała Tommaso Lupi zostawił mu do lepszego przejrzenia swoje rysunki na kilka godzin. Po odejściu Masa z sąsiedniego pokoju wyszedł Piero, który mógł słyszeć wszystko, o czem tu była mowa.

— No, cóż powiesz o imci panu Tommaso Lupi? — spytał z uśmiechem Riario.

— Że to bezwstydny zuchwalec, jakiego moje oczy dawno nie widziały, jaśnie wielmożny panie — odrzekł sługa bez namysłu.

— Tak sądzisz? Mnie się chłopak dlatego właśnie podoba. Że o sobie wysoko trzyma, w tem się nie mylisz; dlaczegóżby zresztą nie miał sobie tego pozwolić, skoro jest w istocie nie byle czem.

— Prócz tego, zdaje mi się, że z waszą eminencyą niezmiernie sobie poufale poczyna — rzekł Piero.

Riario tylko się uśmiechnął.

— Nie zważajmy na to i nie odmawiajmy mu należnego szacunku, bo by jeszcze mógł taką dać nam odpowiedź, jaką pewnego razu ten szatan Benvenuto Cellini wyciął księciu Francesco del Riccio: „Taki, jak ja, jeden może znajduje się na świecie, a podobni do was tuzinami wchodzą i wychodzą przez wszystkie drzwi.

— Jabym myślał, że to ostatnie, na szczęście, do waszej eminencyi zastosować się nie da — zrobił uwagę Piero.

— Bezwstydny łotrze!

Kardynał podniósł rękę, jakby chciał skarcić zuchwalca za śmiałą dwuznaczność, zawierającą się w tych słowach; Piero przyzwyczajonym był czasem, przy wielu

w jaki jedynie sposób mają zapatrywać się tak na ową herezyę, jak i na bullę *Ex stercore* przeciw niej wymierzoną... W Rzepowę odrazu jakby inny duch wstąpił, bo choć i nie rozumiała tego, co ksiądz Czyżyk mówił, ale pomyślała sobie, że „juści musi pięknie mówić, kiej tak krzyczy, że aż cały w potach stanął, a ludziska to tak wzdychają, jakby już ostatnią parę mieli puścić.“ Na każdej niemal stronicy znaleść można jakiś drobiazg oryginalny lub dobrze podpatrzony. Gdy wytrzeźwiony Rzepa obudził się i zaczął wypytywać karczmarza o szczegóły dokonanej nad nim spisowej operacyi, Szmul krzyknął tylko: „No, pasioł won ty sołdat.“ Skoro sprawę wytoczono przed sąd gminny, który z rady pisarza skazał oszukanego Rzepę na karę, wójt, chociaż sprawca jego nieszczęścia, uczuwszy wyrzut sumienia, powiada: — „Mnie ta cosik tej baby żal. Albo im dołożę jeszcze ćwiartczynę grochu, albo co?“

Chłop w *Szkicach węglem* — zapamiętajmy to — jest nieociosanym i bezmyślnym słupem, ożywionym głównie dzikimi instynktami. Ma tak słabe poczucie sprawiedliwości, że gdy wpuścił w „pańską“ koniczynę woły, które, objadłszy się, pozdychały, „pan“ winien mu za nie zapłacić. Posłuchajmy, jak on przez usta dwojga zwaśnionych małżonków skarży się w sądzie: „A to ta psia jucha już dawno spokoju mi nie daje. Przyszedem, jak kto dobry na podwieczerz, a ona do mnie: Ty psie kasztanie, powiada, to gospodarz jeszcze w polu, a ty, pada, przychodzisz już do domu? Za piecem, pada, się układziesz i będziesz na mnie mrygał?“ A ja ta nigdy na nią nie mrygałem, ino co mnie widziała z Jagną ze dwora, com jej pomógł wiader ze studni wyciągnąć, to od tego czasu na mnie zła. Huknęła mi misą o stół, mało mi strawa nie wyleciała, a potem i pożreć nie dała, tylko tak mi wymyślała: „ty pogański synu, pada, ty odmieńcze, ty omętro, ty sufraganie!“ Dopiero jak mi powiedziała: „sufraganie,“ tak ja ją w pysk, ale ino tak, przez złości, a ona mnie warząchwią w łeb...“ Na to „idealna Julia:“ „Jelemożny sądzie! O ja nieszczęśliwa sierota, o dla Boga rety! Nie przy studni ja jego z Jagną widziałam, żeby ich olśnęło! Rozpuśniku, powiadam, małoż to razy gadał do mnie, co mnie tak kochasz, żeby ino zaraz chciał mnie pięścią pod ziobro!... Mówię mu, jak komu dobremu, grzecznie: ty złodziejski portrecie, to gospodarz jeszcze w polu, a ty już do dom? Ale „sufraganie“ mu nie mówiłam!“

Są to karykatury, bezwątpienia zabawne, ale karykatury, które staną przed nami jeszcze później i posłużą nam do ogólniejszego wniosku.

Szkice węglem były czemś tak niespodziewanem, że w pierwszej chwili potępiło je nawet jedyne wówczas w Warszawie pismo demokratyczne. Prasa konserwatywna zacisnęła zęby lub rozpuściła na autora wężowe języki. To samo *Echo*, które później stało się *Słowem*, wyszczuło Sienkiewicza ze szlacheckich dworów, a tylko ten sam Świętochowski, przeciw któremu później on w owem *Słowie* drukował nadesłane paszkwile, stanął w jego obronie. Na szczęście wyklęta powieść drukowała się w *Gazecie polskiej*, która mieści się na liście lokatorów w obszernym gmachu prawomyślności, przebrany zatem w sukmankę szlachcic mostów za sobą całkiem nie spalił.

Wspomniałem, że podróż amerykańska wzmocniła talent Sienkiewicza i pozwoliła mu zebrać obfity materyał obserwacyjny. Oprócz wymienionych korespondencyi i szkiców, napisał on bądź za granicą, bądź w kraju, w dość szybkiem następstwie kilka nowel, z tego właśnie zasobu poczerpniętych. *Komedya z pomyłek* — wesoła historya współzawodniczej waśni między kramarzem i kramarką, zakończonej małżeństwem; *Latarnik* — ustęp z życia polskiego tułacza, dozorcy latarni morskiej, który raz zapomniał jej zapalić, zaczytawszy się w *Panu Tadeuszu*, i stracił miejsce; *Orso* — sielanka małych akrobatów, którzy, obici przez właściciela cyrku, uciekli na pustynię: wreszcie powiastka najobszerniejsza i tendencyjna *Za chlebem*. Chłop polski z córką, uległszy namowom agenta, jedzie szukać lepszej doli do Ameryki. Zaraz u progu nowego świata chwyta odurzonych biedaków nędza, z której na chwilę ratuje ich bogaty rodak, dając pieniędzy na zakupno ziemi. Kupili, ale powódź wszystko zatopiła i Wawrzona z Marysią uniosła. Wawrzon trudów nie przetrwał, Marysia opierała się dłużej, ale wreszcie, tęskniąc za krajem, w porcie jako żebraczka umarła. Na wszystkich tych utworach odbija się jedna z głównych cech talentu Sienkiewicza: szczera, wzruszająca rzewność. Są to obrazki miłe, wdzięczne, nawet w swej grozie sielankowe. Każdy przypomina miniaturę nietylko rozmiarem, ale gładkością malowania. Tylko nie przypomina jej drobiazgowością. Sienkiewicz, chociaż celuje w noweli, nie jest jej Meissonierem — zwykle szkicuje — często nawet nie pędzlem, nie ołówkiem, ale węglem, mało w pospiechu dbając o to, że się powtarza. Zaznaczyłem jego zdolność opisową. Pojąć łatwo, że podobne zjawisko, jak np. burza morska, nastręcza dla takiej zdolności dość różnorodnych widoków, artyście więc wrażeń braknąć nie powinno. Tymczasem Sienkiewicz, zapisawszy je raz w *korespondencyi*, powtarza drugi raz niemal dosłownie *w powieści*. *List z podróży* (II, 89): „...Usłyszałem wodę płynącą w wewnętrznym korytarzu. Rozbudzili się wszyscy; okrzyk; „woda! woda!“ zabrzmiał w całem wnętrzu statku; kobiety poczęły wrzeszczeć na różne tony... Wreszcie nadszedł młody mieczman, cały mokry, z twarzą zarumienioną (sic) walką, i oświadczył damom, że woda nader zwyczajnym sposobem dostała się przez schody na korytarz i że niema żadnego niebezpieczeństwa.“ A teraz *Za chlebem* (IV, 227): „Nagle krzyk rozległ się między stojącymi bliżej wejścia. Bałwan wybił drzwi i runął na salę; woda z szelestem rozpłynęła się po wszystkich kątach; kobiety poczęły wrzeszczeć w niebogłosy i chronić się na łóżka... Po chwili wszedł oficer służbowy z latarką w ręku, cały mokry i zaczerwieniony. W kilku słowach uspokoił kobiety, że woda dostała się tylko wypadkiem“ itd.*). Jestże to ubóstwo wyobraźni? Nie, jest to tylko niedbałość, która pozostawia dość liczne skazy na utworach Sienkiewicza.

Obok tych powiastek z życia amerykańskiego stawały, przeplatając je, swojskie: *Janko muzykant*, mały wiejski chłopczyna, który skradł skrzypce lokajowi, został z polecenia wójta obity i umarł; *Z pamiętników poznańskiego nauczyciela* — żywot gimnazisty, który nie mógł się nauczyć akcentu i także umarł, wreszcie *Jamioł* (anioł), mający się opiekować wiejską sierotą, którą wilk zjadł. Rzewność jest i w tych utworach nutą panującą i niewątpliwie wzrusza czytelnika. Ale winienem tu podkreślić pewne znamię twórczości Sienkiewicza. Jak jego powieści łudzą pozorami demokratyzmu autora, tak również łudzą pozorami niewiary. Czytając *Szkice węglem*, *Przez stepy*, *Za chlebem*, *Jamioła*, gdzie bohaterowie ustawicznie się modlą i ufają

*) Porów. nadto II, 80 i IV 221, II, 86 i IV, 222 i in.

---

innych obowiązkach, które pełnił, odgrywać także rolę nadwornego błazna.

— Niechby już sobie Lupi pozostał jakim jest — mówił dalej Riario — byleby mi tylko nie wchodził w drogę. Patrz no — tu wskazał słudze na rysunek, na którym się znajdowała główka kobieca — czy nie nie spostrzegasz?

— Nic wcale, jaśnie wielmożny panie— rzekł Piero po chwili.

— Tem lepiej.

Riario starannie włożył arkusz do teki.

— Stara rudera, gdzie mi niedawno najpiękniejsza w świecie rączka drzwi przed nosem zamknęła, znajduje się w Cerco degli Albizzi. Tam jest również pracownia Tommasa, a to sąsiedztwo, jeśli nie będziemy ostrożni, może nam wyjść na złe.

Tommaso pracował pilnie, aż go zmierzch zaścignął. I wtedy zaprzestał niechętnie, odstąpił o parę kroków, przechodząc z jednej strony na drugą, badawczem spojrzeniem przypatrując się temu, co w ciągu dnia dokonał. Następnie umył się i zmienił ubranie. Oddawna przebrzmiał już dzwon na Anioł Pański, gdy wszedł na Cerco degli Albizzi i dostał się do mieszkania ukochanej.

Gelsomina nie wybiegła jak zwykle w podskokach do pierwszych drzwi na jego spotkanie. Skoro wszedł do dozernej izby, cisza w niej panowała. Zaniepokojony obejrzał się dokoła po pustej i głuchej sali. Lecz nie, nie pustej. Tam przy ścianie, w nogach łóżka była przecie babka. Na niskim zydelku, z kolanami podniesionemi, które obejmowała rękami, siedziała patrząc osłupiałym wzrokiem przed siebie. Tommaso szybko do niej przystąpił.

— Gdzie Gelsomina? — zapytał. Przychodzę dziś późno, wiem o tem. Nie spostrzegłszy się, przeciągnąłem robotę.

— Nie znalazłbyś jej, chociażbyś był wcześnie przyszedł — rzekła stara. Uprowadzili ją już dziś rano.

— Uprowadzili? Kto? — spytał Maso głucho.

— Drabanci księcia arcybiskupa. Był z nimi dominikanin od Santa Maria Novella. Obwinioną jest o czary i ma się usprawiedliwić. A co odpowie, gdy ją kaci wezmą na tortury? Moje oczy już jej nie zobaczą.

Głos do ryku podobny wyrwał się z piersi Tommasa, a potem silny mężczyzna, jak byk obalony, padł ciężko na ziemię. Ktoby go chciał obwiniać o niemęską słabość, ten chyba nie wie, jak straszne znaczenie w owych czasach miało oskarżenie podobne. Dlatego przedewszystkiem było ono tak przerażającem, że we wszystkich prawie wypadkach brakło sposobu oczyszczenia się z zarzutów. Obwinień takiego rodzaju, ani przysięgą, ani świadectwem innych osób odeprzeć nie było można. Pierwszą przyjmowano zawsze jako kłamstwo, za które najprzód brano najczęściej na tortury; drugie, jeśli go żadnym środkiem usunąć nie zdołano, składano zwykle na karb szatańskiej pomocy; gdyż nieprzyjacielowi rodu ludzkiego musiało przecie leżeć na sercu ratowanie swych sprzymierzeńców i wprowadzenie w błąd sprawiedliwości ludzkiej.

A zatem obwinienie o czary nie równoważyło się z posądzeniem o jaką inną zbrodnię: był to zwykle z góry wyrok śmierci, obostrzony jeszcze niezliczonemi mękami ciała i udręczeniami ducha.

Tommaso podniósł się nareszcie; stara pozostawała głuchą i niemą podczas wybuchu jego rozpaczy. Zdawało się, że od czasu uprowadzenia wnuczki przesiedziała tak na jednem miejscu nieruchoma. Nikt z sąsiadów nie przyszedł do niej. W liczbie przerażających bardzo tego obwinienia była i ta okoliczność, iż zrywało ono wszystkie więzy pomiędzy ludźmi, ponieważ każdy, okazujący współczucie winnemu, mógł oczekiwać, że i jego do podobnej pociągną odpowiedzialności.

Zmierzch zapadł oddawna, stara wstała nareszcie i zapaliła knot trójramienny lampy, oliwą napełnionej.

— Czegóż tu siedzisz jeszcze? — odezwała się do Tommasa, który padł na stołek przy kominie. Radzę uciekaj z miasta, bo i ciebie pochwycą, ponieważ byłeś kochankiem czarownicy.

„Bogu miłosiernemu“ a w końcu giną opuszczeni, zdawałoby się, że on fakty zestawia jako ironiczną ilustracyę naiwnej wiary. Nie jest to wszakże złośliwość, ale niedopatrzona, choć często powtarzana niekonsekwencya. Sienkiewicz był zawsze deistą, a nawet deistą nie — że tak powiem — konstytucyjnym w duchu Buckle'a, lecz autokratycznym w duchu ks. Putyatyckiego, tylko dla celów artyzmu poświęca prawidłowe wnioski logiki. „Czy to wszystko — pisze rozmyślając nad katedrą kolońską—co wykołysało całe narody, otworzyło całą(!)cywilizacyę, co było źródliskiem i osią całego (!) żywota; czy to wszystko rzeczywiście nie jest niczem więcej, jak tylko olbrzymim zabobonem, drugiem smutnem stadyum iluzyi, jak mówi Hartmann, stadyum, które dlatego tylko minęło, ażeby się zaczęło trzecie?“ W tem niby poważnem pytaniu jest tylko jedna dziurka, która je czyni pustem, mianowicie, że i zabobon może „kołysać“ narody i „otwierać cywilizacyę.“ Ludzkość bardzo dużo zdobywała wiadomości nawet wtedy, gdy przypuszczała, że ziemia jest płaską i powstała z ognia.

A. S.

Z GALICYI.

Lwów, 10 lipca.

Nieuzasadniony pesymizm „reformatorów“ krakowskich. — Wspaniałomyślność rządu. — Opozycya *Reformy* i oburzenie *Gazety lwowskiej*. — Rozmiary klęski, zrządzonej powodzią. — Woda w gazetach. — Składki. — Dar cesarski. — Wdzięczność „bratanków“ z za Karpat. — Nietakt *Kuryera lwowskiego*. — Finał sprawy decentralizacyi kolejowej. — Smutne reminiscencye.

Jednakże tak źle znowu u nas nie jest, jak krzyczą wiecznie niezadowoleni „reformaci“ w Krakowie... Na samą wieść, urzędownie jeszcze przez c. k. starostów niestwierdzoną, że żadnymi ukazami niekrępowane, ale najzupełniej konstytucyjnie płynące rzeki galicyjskie wylały, zrządzając szkodę około trzydziestu milionów — rząd pośpieszył czemprędzej z pomocą, ofiarując na powodzian... trzy tysiące guldenów... Wiadomo jednak, że na przewrotność ludzką niema żadnego sposobu. Nowy objaw wspaniałomyślności władzy naszej nadopiekuńczej przedstawiła *Reforma* w takiem zaraz świetle, że aż *Gazeta lwowska* z całą urzędową energią wystąpić była zmuszoną przeciwko wichrzycielom, przyczem nawet utraciła zwykłą sobie c. k. równowagę, wymyślając dziennikarstwu krajowemu i zarzucając mu „złośliwość“ w ocenie działalności rządu, którego intencye dla kraju są— jak wiadomo—najlepsze, a akcya pomocnicza po skonstatowaniu szkód, powodzią zrządzonych, niebawem rozpoczętą zostanie.

I zawstydziła się *Gazeta narodowa* a zarumieniona rzekła: „Daj boże!..“ Ale z *Reformą* nie tak łatwa sprawa! Dziwną bo pamięć ma ta „fakcyjna“ opozycya! Ni przypiął, ni przyłatał—rozwodzi się organ „przeszczepionej na grunt krakowski tromtadracyi lwowskiej“ nad dwojakimi gwichtami, jakimi rząd wiedeński waży rzekomo interesy naszego kraju i prowincyj niemieckich. Jak w Tyrolu była powódź—powiada „jedno z pism miejscowych,“ że użyję ulubionego terminu *Czasu*, ile razy się żali na *Reformę*—jak tam rzeki wylały, toście w tejże chwili sypnęli milionami, chociaż Galicya pięć razy większa od Tyrolu, a straty jego bez porównania mniejsze były, niż nasze.

A, taka „zasadnicza“ opozycya może wyprowadzić najspokojniejszego hofrata z granic austryackiej cierpliwości! Przytrafiło się to i naszemu *schlendrianowi*. Zapomniał się poczciwiec i najszpetniej w świecie skompromitował *Gazetę lwowską*, przesyłając niespodziewanie 100,000 guldenów, podczas gdy organ urzędowy na dzień zaledwie przedtem zapowiedział pomoc rządu w perspektywie dalszej. Smutne to i gorszące zajście w familii wywołało tu śmiech powszechny, zwłaszcza że 100,000 — dobra psu i mucha!

Mucha to dla psa rzeczywiście, zważywszy rozmiar klęski, spowodowanej ostatnim wylewem Wisły i Dniestru ze wszystkimi ich dopływami. Przejechałem niedawno kawałek kraju i miałem sposobność przekonać się naocznie o strasznych skutkach powodzi. Nie wsie, ale całe okolice znalazły się nagle pod wodą i najokropniejszemu uległy spustoszeniu. Zasiewy, inwentarz żywy i martwy, domostwo wreszcie nieraz i zabudowania gospodarskie — wszystko, jednem słowem, zmył żywioł niszczący biednemu rolnikowi z oblicza najniewdzięczniejszej może ze wszystkich ziem, pozostawiając mu — o, Boże, pełen łaskawości! — rozchorowaną żonę i dzieci, sine z głodu i zimna... I nie dziwiłem się już potem milionom dolatujących mnie zdala groźb i klątew, po których, gdyby były skuteczne, nie powinienby pozostać ani jeden kamień na kamieniu w stolicy naddunajskiej...

W tym twardym murze niewdzięczności i niesumienności nie tak łatwo podobno zrobić się uda drobny bodaj wyłom dla otrzymania skuteczniejszej jakiejś pomocy. Teraz tam może przekonano się już o gwałtownej potrzebie uregulowania łożysk niesfornych potoków i rzek naszych—potrzeba jednak będzie długo jeszcze i mocno pukać, zanim się otworzy na pięćdziesiąt kłódek obojętności zamknięty dla nas sezam austryacki. Do kogóż zaś należy to stukanie? Jako wyraz opinii kraju—prasa jęczy, niby najęta, i z sympatyi dla powodzian zalewa całe szpalty potopem frazesów, które, choć do znudzenia powtarzają się, potrzebne są i robią swoje. Nie na wiele się to jednak zdało, jeżeli sejm i delegacya galicyjska w Wiedniu nie przyprą rządu do muru i nie wyduszą z niego potrzebnych na regulacyę funduszów. Wydatek to będzie znaczny i kraj, osobliwie teraz, ponieść go sam nie zdoła — rząd więc, rad nie rad, przyczynić się będzie musiał koniecznie do tego nakładu, jeżeli chce pobierać nadal trybut gruntowy i dochodowy z łanów galicyjskich.

To, co dotychczas zebrano na powodzian, śmiesznie małem okazuje się w porównaniu z ogromem zrządzonej szkody. Parękroć sto tysięcy guldenów — włączam tu i datek rządu—starczy zaledwie na otarcie łez nieszczęśliwym w pierwszej chwili—czem zaś obsiane zostaną zniszczone pola pod jesień, czem żyć będzie chłop przez całą zimę i straszne zapowiadający się przednówek przyszłoroczny — zagadką jest dotychczas, nad której rozwiązaniem trudzić się będzie sejm, z całem zaufaniem powoływany w takich wypadkach przez rząd do specyalnej czynności — nalewania z próżnego. Datki zaś tymczasem wpływają do centralnej kasy powoli i drobne — monarszego daru nie było ani jednego... Ah, prawda! Cesarz Franciszek Józef ofiarował 8000 złr. A no, Bóg zapłać i za to!

Ofiarność publiczna, jak widzicie, nie bardzo kwitnie w naszej cislitawskiej ojczyźnie. Ale i z tamtej strony Litawy, na prześlicznej równinie panońskiej, kędy to z pomocą naszą wzniósł Szegedyn na nowo dumne swoje szczyty ku niebu, nikt jeszcze nie pomyślał nawet o niedoli galicyj-

---

— Nie sądzę; wiem, że inkwizycya chwytała zwykle tych, za kogo ująć się nie było komu. Lecz co do Gelsominy, mylą się, mniemając, że mogą bezkarnie dotknąć jej palcem.

— Wyszeptał te słowa przez zęby, jakby go kto cisnął za gardło.

— Ona jest niewinną, za to dałbym sobie uciąć prawą rękę... ale jak — czy może sądzicie inaczej?

Stara nie zaraz odpowiedziała.

— Mówcież! — nalegał Tommaso, a na twarzy dzika malowała mu się obawa.

— Po co? — odrzekła nakoniec. Nie uratujesz dziewczyny. Mężczyźni zwykle gotowi zdradzić w nieszczęściu. Powątpiewasz o niej, to już dobry początek. Jeśli nie wiesz, czy w nocce majowe nie latała na miotle z czarownicami, to i ja też tego nie wiem. Prawda, że nocę spała obok mnie, jak dziecię, ale oni mówią, że to oślepienie dyabelskie, że ciało pozornie w jednem miejscu zostaje, gdy tymczasem w rzeczywistości lata po powietrzu, nie wiadomo gdzie; co ja mogę wiedzieć? Nie, kto ma zginąć w płomieniach, ten zginie, a zatem daj mi pokój i idź swoją drogą. Będę tu siedziała, aż i po mnie przyjdą, a jeśli zostawią, będzie to łaską, którą mi da Madonna dlatego, abym jeszcze w ciągu tych ostatnich dni, jakie mam przeżyć na ziemi, modliła się za duszę dziewczyny, bo to było dobre dziecię.

Ta mowa starej, gorzkiem zaprawna szyderstwem, wróciła artyście całą jego męską energię. Jeśli nie wzniósł się o wiele wyżej po nad przesądną wiarę swego czasu, jak tego po jego silnym i śmiałym umyśle spodziewać się było można, przypisać to należy sile wyobraźni, górującej w nim po nad rozumem, i mało do badań skłonnej, lekkomyślnej, artystycznej naturze. Gdyby nie był mistrzem, może prawy i zdrowy rozsądek, przy głębokiem poczuciu sprawiedliwości, uczyniłby zeń reformatora. Tymczasem stał się wiernym synem kościoła, przed okrucieństwem, z jakiem duchowieństwo prześladowało winy, przeciw jego ustawom popełniane, odwracającym oczy, jak od wszystkich niemiłych stron życia. Teraz jednak ta obojętność skończyć się miała.

Wybiegł z izby, nie wymówiwszy słowa; nie myślał nawet usprawiedliwiać się przed starą, która nań wzgardliwie cisnęła podejrzenie, że się za ukochaną nie ujmie. Bez namysłu poszedł drogą do pałacu Riaria.

Ludzie, spotykający go, ustępowali z drogi lub zatrzymywali się i patrzyli za nim zdumieni. Niektórzy się śmieli, bo jak szalony wywijał rękami, lub zaciśnięte pięście przyciskał do czoła i jęczał z bólu. W mózgu jego paliła się jedyna myśl: Gelsomina, lękliwe dziewczę, wleczona po ulicach przez pachołków, któozy zuchwalemi rękami dotykali delikatnego jej ciała — zdawało mu się, że ta myśl przyprawi go o pomieszanie zmysłów.

Gwałtownym wysiłkiem woli zapanował nad sobą, znalazłszy się u celu; w każdym razie, skoro kazał oznajmić sługom, że w bardzo ważnym interesie pragnie się natychmiast widzieć z eminencyą, w całej jego postaci było coś tak uderzającego, że to dało powód lokajom do żartobliwych uwag. Piero, który to spostrzegł i słyszał, rzucił słówko kardynałowi. Riario zabierał się właśnie do zmienienia sukni duchownej na świecką, jakeśmy to już raz widzieli, i wydał rozkaz, aby nie wpuszczano mistrza, lecz dobrotliwie odwołał to rozporządzenie, skoro mu doniesiono, że Maso wygląda, jakby piorunem rażony. Riario bowiem interesował się szczerze młodym artystą, a był z natury więcej przystępnym i uprzejmym, niż dumnym i wyniosłym.

Tommaso wprowadzonym został do pokoju, a gdy kardynał spojrzał na twarz jego, do niepoznania zmienioną, skinieniem ręki oddalił sługę, i obaj mężczyzni zostali sami.

— Czemżo wam służyć mogę, Tomaso?— zapytał Riario z dobrocią.

— Miłościwy panie, jestem w pickle, a wy mnie zeń wyzwolić możecie! — zawołał artysta, chwytając błagalnie za kraj kapłańskiej szaty kardynała.

Kilka pośpiesznie wyrzeczonych słów objaśniło Riaria, gdyż zbyt często takie

skich. Jadła tam najlepszego w bród i napoju wszelakiego tyle, że madyarki aż płodność tracą ku wielkiej uciesze słowaków i innych paryasów, zostających w służbie węgierskiej. Niechżeż sobie jedzą zdrowi i piją „bratankowie“ nasi za Karpatami, niech smarują tłuste swoje połcie słoniną, a winnice skrapiają winem—my nie prosimy ich o jeden szeląg nawet, jak to niepotrzebnie zgoła czyni *Kuryer lwowski*, zapomniawszy o dumie narodowej. Czem innem przecież jest odwoływanie się do ofiarności swoich, czem innem żądanie należnej pomocy od sfer rządzących i panujących, na których utrzymanie pokaźnego zabierają nam co rok obola—a zupełnie czem innem żebranina. Datki od obcych można tylko przyjmować, ale się ich nie żąda.

Nie o datek kraj prosił, ale o należność najsłuszniejszą, i nie dano mu jej. Mówię o zarządzie dróg żelaznych. Tyle już razy przejeżdżałem się kolejami galicyjskiemi w moich korespondencyach, że obawiam się, ażali rozbicie pociągu nie byłoby przyjemniejszem dla czytelnika, aniżeli słuchanie niewesołych moich opowieści o smutnych kolejach kolei galicyjskich. Spełnijcież jednak ten kielich goryczy do dna, zwłaszcza że o sprawie decentralizacyi kolejowej więcej nie wspomnę, bo też i klamka za nią już zapadła. Przed tygodniem ogłoszony właśnie został „Statut organizacyjny skarbowych kolei żelaznych,“ sankcyonowany przez cesarza i obowiązujący od d. 1 sierpnia b. r. Stwierdził on najzupełniej obawy tych, co na ogólnikowych przyrzeczeniach rządu polegać nie chcąc, domagali się gwarancyi, mniej lotnej od słów hr. Taaffego. Stało się rzeczywiście tak, jak to z wyjątkiem *Czasu* i jego rzeszy przewidywali wszyscy, jak przewidział poseł Zacharyewicz, skutkiem czego usunął się z Rady państwa. W kraju istnieć będą tylko podrzędne dyrekcye ruchu, w Wiedniu zaś utworzoną zostanie dyrekcya generalna, której ręce rozplątywać będą wszystkie grubsze węzły donioślejszych interesów kolejowych. Z ważniejszych spraw pozostawiono krajowym dyrekcyom tylko dostawę materyałów, atoli „o ile z natury przedmiotu nie wypływa konieczność jednolitej dostawy.“ Jest więc i tutaj „ale.“

Pusto tu teraz u nas okrutnie i samotno. Śmietanka spłynęła, jak zwykle, zagranicę — niższe zaś pokłady społeczne osadzają się zwolna na błotnistej jeszcze po wylewach prowincyi. Teatr wreszcie, jedyna podczas kanikuły pociecha, ruszył także w świat—do Krakowa (operetka) i Krynicy (dramat)—a nam chyba wypadnie siąść nad Pełtwią i w nurty jej smętnie poglądając, dumać nad minionymi, pięknymi dniami Aranjuezu.

Rewera.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Józef Nusbaum **Przyczyny powstawania różnych płci u człowieka i zwierząt.** Warszawa, 1884. — S. Grosglik **O przyczynach powstawania płci u człowieka, zwierząt i roślin.** Warszawa, 1884.

Kwestya przyczyn, warunkujących tę lub inną płeć noworodka, od bardzo dawnych czasów zajmowała umysły uczonych badaczy i praktycznych hodowców bydła. W ostatnich czasach dr. Karol Düsing rzucił*) niejakie światło na tę niezmiernie ważną i głęboką tajemnicę życia. Zaznaczył on przedewszystkiem i dowiódł, iż liczebna równowaga obu płci jest dla każdego gatunku pożyteczną, gdyż sprzyja jego ilościowemu rozrostowi. Jeżeli tak, to, opierając się na ogólnych twierdzeniach teoryi naturalnego doboru, przypuścić możemy, że organizmy stale dążą do przywrócenia owej liczebnej równowagi, ilekroć ona zakłóconą zostanie; że gdy braknie samców np. rodzi się ich więcej, niż samic. Jakoż przypuszczenie to stwierdzić można faktami, zaczerpniętymi z życia ludzi, zwierząt i roślin. Ale zaznaczenie w naturze takiej „samoregulacyi“ nie wyświetla nam jeszcze najbliższych przyczyn powstawania tej lub innej płci danego organizmu. O przyczynach tych mówiono już bardzo wiele; Düsing czyni je wszystkie zależnemi od dwóch potężnych czynników: 1) stopnia dojrzałości pierwiastków rozrodczych (jajka i nasienia) i 2) odżywiania się. Wpływy ich streszczają się w dwóch przez niemieckiego badacza sformułowanych prawach: 1) stare jajko zapłodnione młodem nasieniem daje samca i na odwrót; 2) lepsze odżywianie się zarodków warunkuje powtawanie płci żeńskiej, gorsze sprzyja — rozwojowi męskiej. Taką jest teorya Düsinga. W piśmiennictwie naszem znalazła ona dość obszerną ocenę aż w dwóch w nagłówku wymienionych broszurkach.

Praca p. Nussbauma odznacza się umiejętnem i systematycznem ugrupowaniem materyału, jakkolwiek pierwiastek krytyczny za mało jest w niej uwzględnionym. Zupełnie inną musi być charakterystyka broszurki p. Grosglika: znajdujemy tam pewien nieład i chaos w układzie części i krytycyzm, którego zawziętość świadczy o prawdziwie młodzieńczym zapale autora. Powołując się na Balfoura, uzupełnił on przedewszystkiem prawo Düsinga o pożyteczności równowagi płci, wykazując, iż ma ono wielkie znaczenie nietylko pod względem ilościowym, ale i jakościowym. Następnie z wielką sumiennością podniósł p. Grosglik i rozjaśnił wszystkie fakty, przemawiające na niekorzyść niemieckiego badacza, który, jak się zdaje, zanadto gorliwie ukrywał je przed czytelnikiem. Jeżeli w pracy p. Nusbauma widać pewne rozmiłowanie się w poglądach Düsinga, to znowu p. Grosglik nieraz za daleko zachodzi w kierunku przeciwnym. Tak np. mówiąc o pierwszem prawie Düsinga, utrzymuje on, iż z równą słusznością przypuścić można, że tylko wiek *jajka* wpływa na płeć zarodka, jak i to, że wiek *jajka i nasienia* jednocześnie mają tu swoje znaczenie.

Zdaje się, że tak nie jest. Ze stanowiska teoryi potrzeba, zgodnie z Düsingiem, domyślać się obu powyższych wpływów. Jeżeli żywotność pierwiastków rozrodczych zależną jest od ich wieku, jeżeli od żywotności owej zawisło lepsze lub gorsze *odżywianie się* zarodków, jeżeli nakoniec, o czem wątpić nie można, od karmienia się zarodka płeć jego w ścisłej pozostaje zależności— to w obchodzącej nas sprawie żywotność a tem samem i wiek *obu elementów*—obojętnemi być nie mogą. Z drugiej znów strony, popierając jakiś pogląd, niejednokrotnie zdradza p. G. pewną nieostrożność w wyborze faktów. Dla dowiedzenia np., że gorsze odżywianie się warunkuje płeć męską— przypomina on, iż samce wielu zwierząt niższych mniejszymi są od swoich samiczek. Czytelnik może w tem miejscu zrobić słuszną uwagę, iż w bardzo wielu wypadkach samiec znacznie *większym* jest od samicy: należało tę uwagę czytelnika przewidzieć i zarzut zawczasu odeprzeć —tem bardziej,

*) *Die Faktoren welche die Sexualität entscheiden.* Jenaische Zeitschrift für Naturwissenschaft, t. XVI, z. 3, 1883.

---

straszliwe oskarżenia uderzały gromem w niewinne rodziny.

Zrazu eminencya zdawał się nieusposobionym patrzyć na rzeczy tak seryo, jak je brał nieszczęśliwy przyjaciel Gelsominy.

— Wasza ukochana czarownica? Biedny Tommaso! — rzekł ze swym urywanym uśmiechem. Kobiety i tak robią z nami co chcą, chociaż nie są czarownicami. A wam by się piękna sprzeniewierzyć miała i na złość romansować z dyabłem! (Głównem obwinieniem przeciwko czarownicom miały być właśnie takie nienaturalne stosunki). Dajcie pokój, mój dobry Tommaso, to by się już naprawić nie dało, a wy zbyt dobry gust macie.

— Miłościwy panie, ja uważam Gelsominę za niewinną — odrzekł Tommaso na pół zdławionym głosem. Zaklinam waszą eminencyę, aby się za nią ująć raczył!

— Dobrze, dobrze. Ale czyż to ma się stać dziś jeszcze? Przecież oni tak zaraz nie pozbawią małej życia.

— O nie, bo ją przecie najprzód wybadać muszą. Ale czcigodny panie — blade jego usta złożyły się do rozpaczliwego uśmiechu — chciałbym też dziecku oszczędzić tortur.

— Dobry Boże, Tommaso! — zawołał kardynał, stając się nagle poważnym. Dokąd ją uprowadzono?

— Zabrali ją słudzy księcia arcybiskupa i dominikanin od Santa Maria Novella. Nie wiem, dokąd. Zdaje mi się jednak, żem słyszał kiedyś, jakoby więźniów inkwizycyi trzymano w pałacu arcybiskupim.

— Tak, tak, jego książęca mość bardzo jest gorliwym w rzeczach wiary — rzekł Riario z lekko ukrywaną pogardą. Udam się tam natychmiast.

Tommaso padł na kolana i dumną głowę pochylił do ręki kardynała.

— Jak się zowie dziewczyna?

— Gelsomina da Piorino.

— A gdzie mieszkają jej krewni?

Tommaso dokładnie opisał mieszkanie ukochanej. Nie zwrócił na to żadnej uwagi, że podczas jego opowiadania, twarz kardynała nagłym okryła się rumieńcem. Riario stał od niego nieco odwrócony, z pochyloną trochę głową, jak to było jego zwyczajem.

— Zrobię dla was wszystko, co tylko będzie w mojej mocy, dobry Tommaso — rzekł, zwracając się ku artyście i mierząc go przenikliwemi oczyma.

Tommaso raz jeszcze podziękował i szybko go pożegnał. Nie powrócił do swego mieszkania i w pracowni nie pokazał się przez całą noc. W Baddia (opactwie benedyktynów), znajdującem się w pobliskiem Fiesole, był obraz Matki Boskiej, słynący cudami. Tam, w gorącej modlitwie, na kamiennych płytach przed obrazem, Tommaso spędził noc całą, na co brat zakrystyan, kiwając głową, udzielił pozwolenia ciężko widocznie strapionemu człowiekowi. Rankiem, gdy otworzono bramy miejskie, wrócił do Florencyi.

O bardzo wczesnej godzinie znajdował się już u bram pałacu Riaria. Ulegając gwałtownemu jego naleganiu, odźwierny miał go już zameldować, gdy się ukazał Piero.

— Dokąd idziesz Jacopo?—napomniał odźwiernego. Albo nie wiesz, że o tej porze nasz miłościwy pan modli się w oratoryum i nikomu nie wolno przeszkadzać mu wtedy? Szkoda mi was, ser Tommaso, jeśli wam się śpieszy, ale na to niema rady; musicie się pofatygować później. Przyjdźcie za godzinę, za dwie; wiem, że u mojego pana macie znaczenie, mógłbym stracić miejsce, jeślibym was z kwitkiem odesłał. Ale teraz— podniósł ramiona aż do uszu — teraz nic zrobić nie można.

— Tobie pewnie szatan język wysmarował — odezwał się Jacopo — skoro jego towarzysz skończył, a Tommaso oddalił się milczący, ciężkim, niepewnym krokiem, z głową pochyloną i ponurem wejrzeniem.

(D. c. n).

iż nie jest on groźnym. Innym znów razem, na dowód większej słabości organizmów męskich, przytacza p. Grosglik między innemi większą śród mężczyzn śmiertelność. W interesie prawdy, a jeszcze bardziej w interesie bronionych przez siebie zapatrywań, powinien był uwzględnić takie wpływy na śmiertelność mężczyzn (wojny, praca umysłowa, praca w fabrykach itd.), jakie, nie mając nic wspólnego z słabością ich organizacyi, są tylko skutkiem rozmaitych czynników zewnętrznych.

Obu młodym przyrodnikom naszym należą się zresztą słowa pochwalne za sumienne wedle sił opracowanie przedmiotu, oraz za przypominanie od czasu do czasu naszej publiczności o tem, co się dzieje w świecie naukowym. Obie broszurki z prawdziwym pożytkiem i przyjemnością można przeczytać; jakkolwiek mówią one o tej samej sprawie, to jednak w każdej z nich znajdzie czytelnik dla siebie ciekawy, faktyczny i teoretyczny materyał do poważnych rozmyślań.

J. K. P.

LITERATURA SERBO-ŁUŻYCKA.

W. Bogusławski **Historija serbskaho naroda.** Budiszin, nakładem Michała Hórnika. 1884.

Maleńki ludek serbo-łużyczan, który pod naciskiem długowiecznej germanizacyi, mimo prześladowania i zniweczenia samoistności politycznej, zahartowany cierpieniami, wytrwał w swojej narodowości, tworząc jakoby wysepkę słowiańską śród potężnego oceanu germańskiego, objawia jednak życie. Dzieje jego, zacierane prawicą wojowniczych teatonów, upływały cicho; bo nie było w wiekach barbarzyńskich ludzi, w których uczuciu odbiłyby się żale zgnębionej garstki oddźwiękiem sprawiedliwości. Poucząjąca i pocieszająca dola serbo-łużyczan szczególniej powinna nas zająć, nietylko z tytułu pokrewieństwa, ale i przykładu.

Dawne Łużyce wraz z sąsiednią Serbią leżały od rzeki Odry aż do Saali, od której na zachód ciągnęła się Turyngia, podzielona od VI w. na saską i frankońską, ponieważ sasi i frankowie, pobiwszy nieznanego pochodzenia krajowców, przywłaszczyli sobie ich siedziby. Rzeka Łaba (Elba) rozlewała swoje wody przez środek Serbo-Łużyc, tworząc jakoby przyrodzoną granicę między Łużycami od wschodu, a Serbią od zachodu. Pamiętajmy jednak, że Serbia połabska nie ma nic wspólnego z bałkańską. Dzisiejsza stolica Saksonii Drezno, tudzież Lipsk, Chemnitz itd. leżą właśnie w dawnej Serbii. Podział Łużyc na górne i dolne datuje się od r. 1032, gdy kraj milczanów, czyli ziemia budziszyńska, dostała się Ekhardowi margrabiemu miśnijskiemu i nazwaną została „Łużycami górnemi“ dla odróżnienia od „dolnych,“ czyli właściwych, podwładnych margrabiemu Ditrichowi, mającemu stolicę swoją w Eilenburgu nad Muldą. Po wielu zmianach rządów obie połowy Łużyc przeszły w charakterze zastawu od Austryi na rzecz Jana Jerzego II, elektora saskiego (1624); Brandeburgia zaś otrzymała Kociobuż (Kottbus) z częścią dolnych Łużyc, które Napoleon I na mocy przymierza w Tylżycach przyłączył do Saksonii; lecz już w r. 1815 kongres wiedeński podarował Prusom połowę górnych i całe dolne Łużyce z miastem Kociobużem (125 mil kwadr.), gdy przy Saksonii pozostała tylko część Łużyc dolnych z miastem Budziszynem (39 mil kw.).

Mimo srogich prześladowań, niemcy zmuszeni byli czynić ustępstwa, ustanawiając dla miejscowej ludności osobne sądy. Mowa słowiańska, wygnana z urzędów i szkolnictwa, w kościele nawet bezpieczną nie była, bo duchowieństwo, dla łacniejszego zniweczenia języka narodowego, utworzyło odrębny dyalekt, przepełniony germanizmami. Nietylko atoli narodowości, lecz i prawom obywatelskim krajowców nie wybaczano. Do urzędów, cechów rzemieślniczych i stowarzyszeń kupieckich przyjmowano tylko osoby pochodzenia niemieckiego.

Oprócz licznych ciężarów i podatków, dziewica słowiańska, wstępująca w związek małżeński, i matka, której się dziecię urodziło, opłacały daninę pieniężną. Nie dosyć tego, chytrzy teutonowie, wiedząc, iż w zwyczajach ludowych utrzymuje się najdłużej duch narodowości, podsurowymi karami zabraniali ludowi, aby podczas igrzysk dorocznie odprawianych pląsami i pieśniami nie zabawiał się. Zwrócono nawet argusową uwagę na długie włosy, będące ozdobą włościan, nakazując je strzydz na znak niewoli i poniżenia.

Skażony germanizmami język uprawiany był przez duchowieństwo. Okrom katechizmów i innych książek teologicznych, nic innego prawie w obu narzeczach łużyckich nie drukowano. Pierwszą drukarnię łużycką założył Mikołaj Wolrab w Budziszynie (1552). Michał Frencel w górnych Łużycach był pierwszym w pisowni (w. XVII) prawodawcą, przedtem bowiem używano ortografii czeskiej. Jan Dejka redaguje w Budziszynie pismo p. t. *Serbski powiedarj* (od r. 1809 do 1812), Andrzej Zeilerj poeta również jest redaktorem pism: *Serbske Nowiny* i *Tydżenska Nowina. Jutniczka, Nowiny za Serbów* wychodziły pod redakcyą Jana Piotra Jordana, autora gramatyki, napisanej według systemu Dobrowskiégo. Założycielami towarzystwa oświaty p. n. *Maćicy Serbskeje* (1847) byli: Smoler, autor wielu podręczników łużyckich, zbieracz pieśni. publicysta i tłomacz, zmarły w r. b.; dr. Pful, lingwista i twórca nowej pisowni (1848), tudzież Zeilerj, Kłosopolski i Wehl. Wnioskowi rodaka naszego p. Parczewskiego Alfonsa zawdzięczać należy założenie towarzystwa pomocy dla studyujących serbów i osobny wydział przy *Maćicy* dla zakrzewienia oświaty narodowej w dolnych Łużycach (1880).

Z tych przeto względów obraz dziejów Serbo-Łużyc jest wielce pożądanym, zwłaszcza, jeżeli autor ich, przejęty ważnością swego przedmiotu, zamierza skreślić w nim zwyczaje, obyczaje ludowe w związku z wydarzeniami politycznemi, wpływającemi bądź na zmianę, bądź na zniweczenie tych czynników socyologicznych; same bowiem fakty stanowią tylko suchą i martwą kronikę albo chronologię, bynajmniej na miano dziejów niezasługującą.

Rzecz prosta, iż łużyczanie, będąc zależnymi od niemców, nie wytworzyli u siebie stosunków prawno-społecznych, objawiających się u narodów politycznie rozwiniętych. Zabytki pojęć religijnych i prawnych, albo od innego plemienia przyjętych, albo też zaledwie w pierwszym zawiązku, ukrywają się właśnie w owych zwyczajach i obyczajach ludu. Niedość wszakże czerpać bez wyboru w źródłach dziejowych, skreślić zamierzony podręcznik z powziętą już z góry jakąś hypotezą, do której niewolniczo staramy się zazwyczaj stosować fakty historyczne, ukrywając przed okiem czytelnika wszystko, co by właśnie pajęczą tkaninę mrzonek naukowych snadniej podrzeć mogło.

Praca p. Bogusławskiego jest rozwinięciem *Rysu dziejów łużyckich*, wydanych niegdyś przez p. B. w Petersburgu. Znany publicysta łużycki p. Hórnik dziełko to uzupełnił niektórymi uwagami. Niedostateczność narzecza górno-łużyckiego stała się powodem, że dla wyrażenia niektórych terminów specyalnych zmuszonym był udać się do staroświeczczyzny, tudzież narzecza dolno-łużyckiego, przyswajając nawet z tego ostatniego kilka form gramatycznych, co właśnie się tłomaczy potrzebą wspólnego języka literackiego dla łużyczan górnych i dolnych. Lubo nic przeciw zamiarowi p. Hórnika powiedzieć nie możemy, wszakże nie zdaje się nam, aby lud do mowy ojców nawykły zbyt chętnie nowości tych się chwytał. Autor rozpoczyna dzieje od czasów przedhistozycznych i ciągnie je do odrodzenia narodowego, trwającego właściwie od r. 1848 po czasy obecne.

Wywód nazwy *słowian* od *słowa*, czyli wzajemnego zrozumienia się, *niemców* zaś od *niemy* uważamy już za zbyt przestarzały i naiwny. Nie zdaje się nam, aby *słowo*, w swym początku etymologicznym dosyć wątpliwe, miało być tematem imienia *słowianin, słowak, słowieniec*, jak tego dowodzą wcześniejsze nazwy: *chrobatów, polanów, serbów, obotrytów* itd. Co do nazwy *niemiec* również zachodzi wątpliwość. Skądżeby kałmucy teutona nazywali *nemesz*, jeżeli nie ma dowodu, ażeby ci stepowcy wyraz ten przyjęli od słowian? Wszak niegdyś w Galli belgickiej, a później w Niemczech, w okolicach Szpiry, siedział lud *nemetami* zwany. W każdym razie rzecz to nader niepewna. Niemało się nabiedził uczony Grimm nad pochodzeniem turyngów, których p. B. ma za słowian. Pisarze rzymscy i bizantyńscy mieszają ich z rozmaitemi plemionami. Lubo sam Grimm nazwę tę uważa za skrót imienia *hermunduri*, jednak po długiem nader kołowaniu nic pewnego o turyngach powiedzieć nie umie. Brak zabytków mowy pomienionego ludu nie pozwala nic stanowczego wyrzec o jego pochodzeniu, zwłaszcza że sama nazwa może bądź nadaną mu była przez ludy sąsiednie, bądź też nader skażona. Miasto Erfurth, stolica Turyngii, ma być według autora grodem słowiańskim, nazywającym się pierwotnie Jarobród (?). O ile nam wiadomo, początek Erfurthu, wsławionego pobytem reformatora Marcina Lutra, sięga V wieku po Chr. Podanie miejscowe czyni niejakiego Erpesa założycielem osady Erpesdorf, późniejsze Erfurth.

Od Karola W-go (805 r.) miasto rzeczone staje się siedliskiem wymiany między słowianami i niemcami. Czy słowianie siedzieli w tych stronach przed Chr., jak utrzymuje autor, niemasz w tem nic pewnego. Przytoczony przez autora fakt, jakoby Marobud, panujący w dzisiejszych Czechach za czasów cesarza Augusta w Rzymie, naszedłszy z wojskiem Łużyce, spowodował powstanie pod przewodem jakiegoś Chatowłoda (?), jest zdaniem naszem tylko śmieszną bajeczką, niezasługującą na bliższe zastanowienie.

Żałujemy, że zajmujące z wielu względów dzieje Łużyc autor hypotezami i legendami przeplata. Rutynizm nie pozwala p. B. wyjaśnić danych, przyczyniających się do wywołania niektórych faktów. Stąd np. Albrecht Niedźwiedź, założyciel Brandenburgii, zjawia się tutaj jak *Deus ex machina.*

Książka ta jednak przedstawia niemały materyał, lubo niezbyt krytycznie opracowany.

Justyn Feliks Gajsler.

TEATR.

Bracia Maucroix sztuka w 3 aktach A. Delpita, z francuskiego tłomaczona.

Senat francuski, uchwalając niedawno rozwody, zniszczył tem samem najobfitszą kopalnię pomysłów, z której hojną ręką czerpali belletryści i dramaturgowie. Nierozwiązalność małżeństwa bezwzględna była w stosunkach małżeńskich tą niezłomną skałą, o którą roztrącały się pragnienia jednostek, skrzywdzonych przez życie. Z jednej strony zwyczaj sztucznego doboru przy kojarzeniu małżeństw, które we Francyi stały się bardziej niż gdziekolwiek

kombinacyą majątkową, z drugiej — rwące pragnienie ludzkiej natury, te dwa przeciwieństwa wywoływały w życiu obyczajowem mnóstwo starć, podniesionych często przez znaną krewkość temperamentu francuzów. Obecnie wskrzeszenie rozwodowego prawa w wielu wypadkach usunie konieczność bezsilnej walki jednostki z niezłomnym fatalizmem społecznym i pozwoli zawiedzionym wyjąć kark z pod jarzma, gdy się ono nieznośnem stanie, a zarazem wpłynie na zmniejszenie ilości tych nielegalnych form pożycia, tych dramatów miłości nieprawej, jakie rozgrywają się tak obficie nietylko przy złudnem, migotliwem świetle scenicznych kinkietów.

Ten nadmiar erotyzmu, to uparte krążenie około wiarołomstwa, jakie cechuje dziejową literaturę nadobną we Francyi, jest niewątpliwie wynikiem naturalnego protestu, jaki w obyczajach wywołuje konwenans towarzyski i rygor prawny, krępujący swobodny rozkwit najpotężniejszych i godziwych pragnień ludzkiej natury. W każdym razie niektóre utwory staną się rychło pomnikiem przeszłości, co zapewne spotka przedstawioną u nas w tych dniach sztukę Delpita *Bracia Maucroix*, która niedawno graną była na deskach pierwszej francuskiej sceny.

Cała oś tego rodzinnego dramatu polega na żywem przeciwieństwie legalnego małżeństwa i... konkubinatu. Przypadkiem schodzą się w miejscu kąpielowem hrabina Maucroix i nielegalna jej następczyni, prawy syn hrabiego Maucroix Henryk i jego nieprawy brat Julian noszący za pozwoleniem ojca to nazwisko. Autor nie zadaje sobie trudów, aby w szerokiej ekspozycyi wykazać, jak się układały te stosunki, ale wedle zwyczaju dramaturgów francuskich przedstawia skupioną i sztuczną ich zawiłość. Sytuacya zaostrza się przez to, że dwaj nieznani sobie bracia zostają rywalami w miłości. Prawy brat oprócz tego broni czci swej matki i rzuca tamtemu w oczy groźbę. Już ma zawrzeć kainowa walka, już dwaj bracia grożą sobie jak dwaj śmiertelni nieprzyjaciele, gdy w tem matka nieprawego upokarza się i zyskuje przebaczenie od tej, którą skrzywdziła. Bracia godzą się także, gdyż starszy poruszony szlachetnością młodszego, podaje mu dłoń i chce uznać go za prawego członka rodziny, torując sobie tym sposobem drogę do zaślubienia ukochanej dziewoi. Przeciwieństwo rodziny prawej i nieprawej ma się rozwiązać w dobrowolnej zgodzie, ale w tym akordzie harmonijnym jeden ton brzmi niestrojnie. Matka Juliana usuwa się, zrywa latami szczęścia osłodzony stosunek z hr. Maucroiv, aby tylko nie stać na drodze szczęścia swego syna jako widmo niesławy. Julian dziękuje za dobrodziejstwa, ale, idąc za głosem powinności, nie chce się wyrzekać matki, która była wobec świata grzeszną, ale dla niego godną najwyższej czci i wdzięczności. Jakkolwiek dotknięty plamą nieprawego pochodzenia, jednakże czuł on w głębi serca, że prawo sądu nie do niego należy. Miłość synowska staje tu wbrew wyrokom zdawkowej etyki, która w takich zawiłościach skazuje na ofiarę tylko... kobietę. Główny sprawca tych zawikłań, człowiek, który dał początek nieprawej rodzinie, stoi jak opoka, koło której wirują tylko zmącone fale ludzkiej niedoli. Bracia dyszą ku sobie nienawiścią, matki wylewają łzy ofiarne, on jeden tymczasem nie uronił nic z czci i szczęśliwości własnej, mógł żyć jawnie z kobietą lat dwadzieścia bez skandalu i hańby. On winien, ale czy tylko on? Daleko więcej od niego godny zarzutu i potępienia ten upór nielogicznej natury, która chce, aby w imię jakiejś fikcyi prawnej lub teologicznej, ludzie, zrobiwszy błąd, dźwigali kajdany, aby wyrzekli się najdroższych przywilejów, stłumili najgorętsze pragnienia. Pierwsze małżeństwo go zawiodło, nie znalazł w niem szczęścia, więc czy po zerwaniu węzłów życia legalnego miał zostać jak samotnik, jak człowiek wyzuty z praw do pieszczoty ukochanej, do uśmiechu dziecięcia? Spotkał kobietę kochającą — czyż w takiej sytuacyi łatwo odtrącić szczęście z kądkolwiek ono pochodzi dla jakichś teoretycznych chimer? Gdyby istniało prawo rozwodowe, kto wie, może by zyskał swobodę dla siebie i dla kobiety, którą uczynił nieszczęśliwą; ale w obecnym stanie rzeczy musiał z niej zrobić nałożnicę i dać życie synowi napiętnowanemu bękarctwem.

Moralista starej daty pewno powie: mógł poświęcić się na ofiarę porządku i moralności... Dość zaprawdę słyszeliśmy tych głosów dzikich i nieludzkich, co cnotę uważają za jakiegoś Molocha, w którego wnętrzu rozpalonem przez żarliwą pobożność ma płynąć szczęście tysiąców. Trzyma się jeszcze ta stara etyka ofiarności, stawiająca teoretyczne fikcye po nad szczęście jednostek, tam nawet, gdzie sprawa zachowania rodzaju nie wymaga zaniku indywidualnych przywilejów. Powoli będzie ona jednak musiała runąć, jako prawo, które straciło racyę bytu odkąd w zastosowaniu wytwarzać zaczęło anomalie. Do tych konsekwencyi jednak dochodzi nie autor dramatu, ale krytyk rozpatrujący zawarte w nim fakty ze stanowiska społecznego.

P. Delpit ograniczył się do wybitniejszego przedstawienia niesprawiedliwości spadającej na kobietę, która sama jednak schyla się pod brzemieniem nieszczęścia w chwili, gdy obce rodziny kojarzą się węzłem braterstwa. Autor zresztą nie szedł śladem wydeptanym przez tendencyjnych swoich kolegów, nie chciał niczego dowodzić w sposób teoretyczny, nie mnożył paradoksów, ale tylko w nader treściwym skupieniu przedstawia grę uczuć i namiętności. Nie zadawał sobie trudu rozwiązania i motywowania pojedynczych jej momentów, nie określał bliżej charakterów, wikłał położenia efektownie ale sztucznie i przesuwał się po ich wierzchu ze zdumiewającą szybkością. To też jego utwór pomimo nielogiczności wątku ma zalety jędrnego szkicu, kreślonego rzutko. Jej bohaterowie traktują bardzo delikatne kwestye twardo, bez osłonki i posiadają pewne piętno szorstkiej szczerości, niewyłączającej szlachetnego polotu uczuć i podniosłości charakterów. Dlatego też pomimo drażliwości sztuka ta, nienależąca zresztą do arcydzieł, ale lepsza od wielu efektownych fabrykatów budzi w końcu pewne dodatnie wrażenie, jakkolwiek nie ma siły żywotnej, aby mogła przeżyć swą chwilę. Jako utwór sceniczny, nie daje materyału do gry popisowej, ale wymaga współrzędnego działania lepszych czynników wykonawczych, które szczęśliwie wypadło, dzięki połączonym usiłowaniom pań Rakiewiczowej i Niewiarowskiej; pp. Kotarbińskiego i Ładnowskiego. Pannie Czaki i p. Prażmowskiemu, reprezentującym najmłodszy żywioł, za grę żywą i ciepłą dajemy: *bravo!*

J. K.

LIBERUM VETO.

Stara prawda. — Dobrodziejstwo powodzi. — Zbliska i zdaleka. — Zużyte środki pobudzania ofiarności. — Oględność w rozdawnictwie składek. — Obdarowany ksiądz i bogaty pan. — Błogosławione skutki cholery. — Granice rozpoznawane nosem. — Dwa środki ochronne i p. Lindley. — Asnyk kompromitujący Kraków i społeczeństwo polskie. — Operacye przedwyborcze. — Niemożność pisania o kobietach w lecie.

Stara to prawda, wielu przysłowiami wypowiedziana, że w każdem złem tkwi jakiś kryształik dobrego. Z tej reguły nie wyłączają się nawet najstraszniejsze plagi: powodzie, zarazy, pożary itd. Chociaż od lat wielu, równie jak dziś, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że należy ubezpieczyć brzegi Wisły, proszę mi wskazać, kto przed dwoma jeszcze miesiącami byłby poświęcił temu przedmiotowi minutę uwagi — oprócz, naturalnie, redaktorów, no, przypuszczam i czytelników *Inżenieryi i budownictwa* oraz *Przeglądu technicznego*. A dziś! Dziś z pewnością pensyonarki po rozpoczęciu się lekcyi dostaną zaraz na temat do ćwiczeń: o uregulowaniu Wisły. Nie potrwa to długo, krócej niż tiurniury, ale dobra i ta chwila zajęcia się sprawą, nieco od tiurniur ważniejszą. Może wreszcie kiedyś, kiedyś, gdy nas jeszcze kilkanaście powodzi zniszczy, usypiemy kawałek wału i ochronimy od zalewu ze trzy wioski. Nie sądzę zaś, ażeby za życia najmłodszego z obecnych pokoleń nastąpiło obwarowanie koryta Wisły. Nie dokonają tego ani przyczyny od nas zależne, ani niezależne. Co do pierwszych w organizmie życia naszego tkwi jakiś fatalizm, niepozwalający ogółowi zaprzątać myśli kwestyami najbliższemi i odciągający ją do dalszych. Zagadnijcie któregokolwiek ze swych znajomych:

— Wie pan, nowa ustawa stemplowa będzie kraj kosztowała około 2 milionów rs. więcej rocznie.

— Patrz pan! — odpowie. Ale te[illegible] Bismark...

— Co pan mówisz o projekcie puszczenia zagonów naszego przemysłu w głąb Cesarstwa?

— A tak, naturalnie. Czy też to prawda, ażeby wynaleźli w Ameryce taki wielki dyament?

Trzeba dopiero klęski i to klęski dotkliwej, ażeby myśl naszą, wiecznie będącą w jakiejś dalekiej podróży, sprowadzić do domu i jego kłopotów. Wtedy dajemy się brać — na miłosierdzie, które nie wymaga wysiłku długiego, lecz jest aktem woli doraźnym.

W cieple wszystkie ciała rozszerzają się, ale energia — nie. Zapewnie też skutkiem nieprzerwanych upałów składki na powodzian słabną, a przedsiębrane na ich dochód rozrywki publiczne nie udają się. I tak koncert w Dolinie Szwajcarskiej z tym celem ściągnął bardzo niewielu słuchaczów, do czego — prócz gorąca — pomogła wysoka cena biletów i zużyty wabik. Zapewne, w ostatnich dniach istnienia świata jeszcze będą grywane koncerty, ale jako środek wyzyskiwania publiczności dla ubogich nie działają już dziś skutecznie. Są o tyle dobre, że uwalniają od zdobywania się na pomysły nowe. Szpital dziecinny niema pieniędzy — Towarzystwo dobroczynności stęka — jakąś okolicę nawiedziły pożary — bierze się pp. Barcewicza lub Górskiego, Dowiakowską lub Klamrzyńską, wreszcie orkiestrę teatralną — i gotowa baterya do elektryzowania ofiarności. Czasem płynący z niej strumień wstrząśnie szerokie koło (w poście!), a czasem ledwie drgnie kilkadziesiąt osób. My francuzów w przemyśle nie pokonamy — rzekł kiedyś niemiec Rouleaux — bo kiedy oni w wyrobach swych objawiają niewyczerpaną rozmaitość, nasze lampy i fajki jak zaczną modelować Bismarka i Moltkego, tak aż obrzydzą się ogółowi. I nam zajęczo, wydeptane szlaki podobają się najbardziej. Gdy *Figaro* wymyślił *Paris-Murcie*, my już do dnia sądnego będziemy go we wszystkich potrzebach naśladowali. Życzę wydawnictwu *Na pomoc* błyskawicznego odbytu, ale zarazem życzę przyszłym, dobrym chęciom literackim, ażeby wyszły z tej utartej kolei i wynalazły coś nowego. Jest to tem konieczniejsze, że nie posiadamy ani genialnych pisarzów, ani słynnych mężów stanu, których „aforyzmy“ i autografy miałyby dla ogółu wielką cenę. Będąc zaś znakomitością wobec żony, matki, babki, siostry, brata i przyjaciół — nie-

wiele takimi honorami można przynieść dochodu... biednym.

Ponieważ ostatecznie publiczna składka nie dosięgnie cyfry wysokiej, więc trzeba w jej szafowaniu być badzo oględnym. Tak np. nie zasłużył na sowitą jałmużnę ksiądz w Kamieniu, któremu Wisła zalała podobno kilka zagonów kartofli. Mógł być zaś według naszego przekonania pominiętym nie dlatego, że jest księdzem, ale dlatego, że w każdym razie taka lub nawet większa strata nie grozi mu głodem i ruiną. Podobnie nie dałbym ani grosza posiadaczowi folwarku, przemysłowcowi, urzędnikowi itd., gdyż wszystko są to ludzie, niepotrzebujący wyciągać rąk. Składki należały się tylko klasie najuboższej — ludowi. Jakkolwiek o sowitem wynagrodzeniu księdza donosi nam osoba znana i wiarogodna, wolałbym przecie, ażeby delegaci pewnego dziennika, którzy tę wspaniałomyślność mieli okazać, świadectwu naszego korespondenta zaprzeczyli. Gdyby zaś nawet prawdą było drugie doniesienie, że wręczali datki pod imieniem swego pisma iże powiślanie skutkiem tego błogosławią „bogatego pana *Kuryera warszawskiego*," to uważałbym za niewinną słabość ludzką, która do poważnych uwag materyału nie daje, bo owoców działalności nie zmienia. Czy tam [illegible]pek wie dokładnie, czy niedokład[illegible] od kogo dostał zapomogę, to jest względem mniejszej wagi, aby ją tylko dostał.

Po powodzi, która zwróciła naszą uwagę na potrzebę uregulowania Wisły, składam drugi hołd cholerze. Dzięki tej szanownej wiedźmie rozmyślamy i piszemy o czystości ulic i domów, o warunkach sanitarnych uboższej ludności, o kontroli nad targami, nawet o miejscach ustępowych. Niedawno jeszcze, gdy nam kto o tych rzeczach wspomniał, ziewaliśmy lub wołali „tfu!" a dziś najdelikatniejsze damy rozprawiają o najbardziej tajemniczych potrzebach ludzkich. Błogosławiony niech będzie... strach, chociaż on podobno wpływa na szerzenie się zarazy! Zachodnią bowiem granicę Królestwa Polskiego europejczyk może w każdym punkcie z zamkniętemi oczami rozpoznać... nosem; pierwszym zaś wykrzykiem, jaki się wyrywa z piersi polaka za granicą, jest zdziwienie: jakże tu *wszędzie* czysto! Miasta nasze są suchemi *tangami* indyjskiemi, w których Koch wynajdywał gniazda „przecinków" cholerycznych. Gdybym w Niemczech lub Anglii powiedział, że u nas konduktorom tramwajowym nie wolno siadać, dzieciom kształcić się w szkołach po nad przepisaną liczbę a wolnym i pełnoletnim żenić się bez spowiedzi, może by mi uwierzono; ale gdybym opisał otwarte zbiorniki nieczystości w najokazalszych kamienicach warszawskich, nieznający naszego „syreniego grodu" odparłby niezawodnie: „wesoły obywatelu, Bóg nie na to mnie stworzył, ażebym ci do drwin służył." Za granicą również hygieniści i stróże zdrowia publicznego, rozbijając garnki babom, które podprawiły mleko mąką, kłaniają się grzecznie damom, które ogonami sukien wznoszą tumany kurzu i duszą przechodniów; ale podobnych brudów i niechlujstwa, jak u nas, szukać już dziś trzeba aż w miastach azyatyckich. I tak nam dobrze, tak wygodnie, tak swojsko w tych zabójczych woniach i plugastwie, że potrzeba dopiero strachu przed cholerą, ażebyśmy pomyśleli o czystości. Pomyśleli! Strzały na łukach leżą, ale cięciwy nie spadają. Dopóki zaraza w oczy nie spojrzy a rozbudzona przez nią policya za kark opieszałych nie ujmie, zadawalamy się myciem palców i malowaniem domów. Zdaje nam się, że gdy cholera zobaczy pięknie wytynkowaną kamienicę, cofnie się z przed bramy, nie zajrzy do wnętrza i odejdzie przekonana, że tu nie będzie miała gdzie znieść swych jajek.

Nie zapominajmy wszakże o błogosławionym wpływie warunków. Dr. Billroth na posiedzeniu wiedeńskiej rady zdrowia oświadczył, że walka z cholerą nie jest trudna: potrzeba tylko... dobrej wody i kanalizacyi, akurat dwu środków, które liczna rodzina Lindleya przygotowywa nam od lat kilku i dotąd ledwie wysunęła swoje roboty z Koszyków. O, szanowny Billrocie, powiedz, że można cholerę odstraszyć ptasiem mlekiem, lwią ikrą, kwiatem grzybów, wątrobą korali, tylko nie kanalizacyą i nie wodą, bo to jest dla nas w r. 1884 niepodobieństwem. Mamy wprawdzie dość wody do zatopienia dobytku i plonów tysiąca rodzin, ale nie mamy jej na umycie całego ciała i wszystkich sprzętów kuchennych. O piciu już nie mówię, bo wątpię, czy kiedykolwiek za zdrowie Warszawy wzniesiony będzie uroczysty toast szklanką czystej, miejscowej wody.

W każdym razie zdanie Billrotha, który zaleca tyle prania, mycia się i strzeżenia porządku, że suchy i brudny warszawianin z drżeniem słucha tej rady — polecamy wszystkim panom Lindleyom. Pośpiech w robotach kanalizacyjnych i wodociągowych był dotąd pożądanym dla naszej wygody, a teraz staje się pożądanym dla naszego bezpieczeństwa. Tu już nie wystarczą wiadomości o pękaniu rur i polemika z niecierpliwemi gazetami. Trzeba poganiać tych, co ciągną, bo zaczniemy poganiać tych, co furmanią.

Szczęśliwy Kraków! Chociaż mniejszy, biedniejszy, głupszy i pobożniejszy od Warszawy, ma kanały i wadociągi, a wobec nadchodzącej cholery trapi się tylko tem, że go — a z nim „całe społeczeństwo polskie" — „kompromituje" Asnyk, wybrany do Rady miejskiej. Rzeczywiście, po co Asnyk wlazł w tę Radę — nie rozumiem, chyba po to, ażeby czystą, poetyczną jego togę gawiedź stańczykowska oplwała swą agitacyjną śliną i ażeby w marnych a bezowocnych kłótniach targał sobie siły innej walki godne i do innej powołane. Od czasu jak został redaktorem *Nowej Reformy*, a jeszcze teraz radcą miejskim — małomówna jego muza już całkiem zamilknie, co będzie podwójną szkodą w czasie, w którym myśl głębsza rymuje się u nas tak rzadko. Trzeba zaś mieć stalowe nerwy, ażeby wytrzymać co lat kilka błotnistą kąpiel. Życie konstytucyjne przedstawia bardzo wiele pięknych stron, ale posiada jedną ohydną, wprowadzającą do gry i popisu najwstrętniejsze popędy ludzkie—walkę przedwyborczą. Gdy człowiek rozumny, zacny, znakomity, będący chlubą swego kraju, jest publicznie poniewierany, nurzany w rynsztokach, bity, odzierany ze skóry w plakatach ulicznych, mowach, gazetach, czujesz odrazę, patrząc na tę operacyę zdaleka. A cóż dopiero poddać się jej samemu, wysłuchać od przeciwników całej litanii paszkwilu, znieść wszelką potwarz, stać pod gradem zarzutów i oskarżeń o złodziejstwa, samolubne cele lub zdradę! Godność reprezentowania kuli ziemskiej nie zdołałaby wynagrodzić takiej tortury, w której oszczercze głosy i pióra nie zawahają się nad niczem i niczem nie pogardzą. Do jakich zaś granic posunąć może swe zuchwalstwo podły pismak, niewart często zetrzeć prochu z butów szkalowanego, niemający nic do stracenia i zabezpieczony nikczemnością od jakiegokolwiek odwetu, wiedzą dobrze ci tylko, co śledzili uważnie przebieg kampanii wyborczej. Obserwując ją w różnych krajach, myślałem sobie: jeśliby ona toczyła się w moim i jeśli bym był pewny, że zwyciężywszy, stanę na najwyższym szczeblu zaszczytów, wolałbym być drożnikiem kolejowym, odzianym przez b. magazyniera Drogi wiedeńskiej, niż dobrowolnie starać się o mandat poselski. Naturalnie, gdyby mi pewne koło powiedziało: powinieneś wystąpić jako kandydat dla obrony praw ludzi, z którymi cię łączy wspólność dążeń — zatknąłbym uszy, zamknął oczy i — plusk w bagno przedwyborcze! Ale z własnej chęci—nie pokusiłbym się nigdy, nawet o mandat kontrolera berlinek na Wiśle, który prawdopodobnie niewiele zbudziłby zazdrości. Oto dlaczego nie pojmuję Asnyka, cisnącego się do Rady miejskiej Krakowa, w której jego głos będzie tylko bezsilnem *liberum veto* i która łechcze tyle pożądań. Również z tego powodu odmówiłbym prawa reprezentacyi kobietom, gdyż one, przeszedłszy przez rózgi agitacyi, karmiłyby dzieci — żółcią.

Ktoś z Paryża przysłał mi numer *Figara* z artykułem G. de Maupassanta p. n. „La femme de lettres," z wykrzyknikami zachwytu i prośbą, ażebym wyraził swoje zdanie. Wybacz, szanowny nieznajomy, ale o kobietach niechętnie piszę... w lecie. Bo widzę ich ogony, zmiatające kurz, ich dziwaczne kapelusze z żabami i sowami, ich wysokie korki i obcisłe staniki, a zwłaszcza teraz ich tiurniury, jak gdyby wypchane naroślami hotentotek, a gdy tej waryackiej modzie poddają się najrozumniejsze, mimo najprzychylniejszych wywodów teoretycznych, nie mogę pojąć, ażeby te istoty zdołały na jakiemkolwiek polu przewodniczyć ludzkości. Z wiarą w ich posłannictwo i uzdolnienia czekam przeto do — zimy.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Metafory moich kolegów.—Oryginalność naszego położenia.—Utyskiwanie korespondenta *Wieku*.—Szczęśliwi i nieszczęśliwi pogorzelcy. — Pierwsza próba zaradzenia złemu.—Trzecia klęska.—Moja ewentualna rozmowa ze stróżem nocnym. — Kosztowna zabawka panów.

Koledzy moi, opisując powrót Wisły do wzgardzonego przez nią koryta, zapewnili czytelników, iż zamulone pola wyglądały zupełnie tak samo, jak dusza ludzka, przez którą przejdzie fala wzburzonych namiętności. Ponieważ jednak feljetoniści, ludzie najczęściej młodzi, z doświadczenia wiedzą, że namiętność podobniejszą jest do ognia, niż do wody—więc w dalszym ciągu porównań okazywało się zawsze, że „mętna fala" może „spopielić do gruntu duszę" i „wypala z niej wszystko, co dobre, piękne i szlachetne." Pod wpływem tej ogniście-wodnistej psychologii czytająca publiczność powzięła zapewne wstręt do wszelkich namiętności, nie nabywając zresztą dokładnego pojęcia o szkodach wylewem spowodowanych. To też radzę każdemu rozczytywać się dzisiaj uważnie w pismach codziennych. Wiadomości urzędowe istnieją dlatego, że działalność władz i w dziedzinie statystyki musi być reprezentowaną; okoliczność ta jednak nie powinna ostudzać w nas chęci poznania istotnego stanu rzeczy. Cokolwiek się zrobi dla powodzian teraz — nie usunie to obawy na przyszłość. Ponieważ nawet „prawdziwa wiedza" uznaje, że „Pan Bóg mieszka wysoko," i ponieważ we wszystkich innych kierunkach drogi są zamulone wylewem, więc sami radzić sobie musimy. Zanim to nastąpi, możemy pocieszyć się oryginalnością naszego położenia. Najprzód—najżyźniejsze okolice kraju są dla nas od czasu do czasu źródłem ciężkich strat pieniężnych, a potem, co już jest mniej oryginalnem, dobroczynność nasza i ofiarność demoralizuje lud wiejski na niekorzyść radykalnych środków ochrony. Jedno i drugie zrozumiała i ocenila prasa codzienna i jej korespondenci. Ci ostatni, o ile ręce ich sygnetami są ozdobione, całą prawie odpowiedzialność za nasze niedołęstwo starają się zwalić na barki chłopów. Do roku 1864—powiada jakaś „własność większa" w *Wieku* — kiedy w sprawach podobnych decydowali obywatele, na całym Powiślu krzątano się koło obwarowania brzegów przeciwko powodzi; później—gdy głosowanie przeszło do chłopów—roboty zaniechano, a fundusze na re-

gulacyę przeznaczone utonęły—rozumie się nie w Wiśle. Lud wiejski nie chce ponosić wydatków na obwałowanie rzeki i zasłania się odwiecznem swem: „jak było—tak niechaj będzie.“ Dziwimy się trochę korespondentowi, który potępia naszych kmiotków za przywiązanie do tradycyi i pozwalamy sobie zdjąć wielką część winy z ich pracowitych barków. Chłop nasz posiada dziwną logikę. Według niej np. na podatki patrzy on jak na pożyczkę, która mu ma być zwróconą w formie rozmaitych dobrodziejstw cywilizacyi — obrony od złodziei, pomocy lekarskiej, ochron dla dzieci, szkółek, wałów nadbrzeżnych itp. W chwilach rozczarewania oryentuje się prędko: skradzioną krowę odbija—kłonicą, na wypadek febry—częstuje znachora wódką i obchodzi trzy razy do koła zabitej (dla tegoż znachora) kury, zbywające dzieciaki topi w szafliku z pomyjami, na ciemnotę syna—ucieka się do skutecznego machnięcia ręką i spluwania, ale ze strasznym wylewem Wisły radzić sobie jeszcze nie umie. Klęska ta przychodzi wprost od Boga, o którym chłopek ma daleko gorsze wyobrażenie, niż redakcya *Przeglądu katolickiego*. Przekonanie, iż „strzeżonego Pan Bóg strzeże“ jest zbyt ateuszowskie dla konserwatywnych umysłów ludu, któremu najlepiej trafia do smaku zasada determinizmu: „tak będzie, jak ma być!“ Pomimo to wszystko należy korzystać teraz z silnego wrażenia, jakie ostatnia powódź na wieśniakach nadwiślańskich zrobiła: może skłonniejszymi się okażą do pewnych ofiar na rzecz uregulowania brzegów.

Niezależnie od takiej propagandy i poważne przedstawienie tej sprawy właściwym władzom może mieć dzisiaj lepszą rękojmię powodzenia. Zrozumiał też to w samą porę „stopnicki komitet pomocy“ i wykazał komu należało naglącą potrzebę szybkiego zaradzenia złemu. Odnośny referat przesłano też ze Stopnicy i do Sandomierza, a to dla jednobrzmiącego poparcia prośby u władz wyższych.

Na jednostajność wrażeń nie możemy narzekać. Pomimo zalewającej dziś wszystko w pismach wody, spotykamy się w nich coraz częściej—z ogniem. Pożary szerzą się u nas niemiłosiernie, zostawiając po sobie popioły i zgliszcza daleko obfitsze, niż „w duszy człowieka, przez którą itd.“ Nie masz prawie numeru dziennika, w którym nie byłoby wieści o „nieszczęśliwych“ i „szczęśliwych“ pogorzelcach. Kategoryę tych ostatnich—w Europie mniej znaną—stanowią u nas tacy wybrańcy losu, którym liche budynki udało się na wysoką ubezpieczyć sumę. Spekulantów takich znajduje się podobno coraz więcej; sprawa o podpalenie wraz z brakiem dowodów idzie do sądu—poczem następuje wypłata. W ten sposób rozmaite „Jakocy“ stają się prawdziwą kotwicą wybawienia dla zrujnowanych oszustów. Łuną pożaru, chociaż nie bezpośrednio, oświetlają nas agenci towarzystw asekuracyjnych. Panom tym idzie zwykle o to, aby za wielką sumę ubezpieczeń otrzymać wielki udział w zyskach. Wynikiem tych operacyj jest, jak wyżej: proces, brak dowodów i wypłata. Do niemniej pospolitych skutków należy i to jednak, że biedakom, którzy się odważają mieć czyste sumienie, pali się cała chudoba i że nędza coraz większe gromadki ludu miejskiego i wiejskiego w serdeczne ujmuje uściski. Jakiś lekarstwo na tę chorobę? Podawały je nieraz wszystkie pisma, mówiła o niem i *Prawda*: cały kraj należy ogarnąć siecią wzajemnych ubezpieczeń, mających na celu nie zyski, ale ochronę mienia.

Pierwszy krok na tej ważnej drodze zrobiono nawet. Ziemianie płoccy, którzy uśpionej samopomocy naszej niejedną już zagrali pobudkę — i teraz dali dobry przykład. Przed kilku dniami aktem rejentalnym zawiązali oni stowarzyszenie asekuracyjne na wzajemności oparte. Jeżeli próba ta nie ma być pracą Syzyfa—potrzeba, aby naśladowcą płocczan w tym razie stał się kraj cały.

Trzecią plagą naszą—czytelnik ją pewno dośpiewał—jest hypomania złodziei, a właściwie koniokradztwo. I z tą niemocą walczyć postanowiły wiejskie gminy gubernii płockiej. We wszystkich wioskach ustanowieni tam będą stróże nocni. Obowiązkiem ich ma być zatrzymywanie wszystkich przejeżdżających przez wioskę wozem, bryczką lub furgonem i zapytywanie pasażerów o kierunek i cel podróży. Turbowanie właścicieli karet uważam, wraz z twórcą pomysłu, za zupełnie zbyteczne: panowie ci drobną kradzieżą nie plamią się nigdy. Jednakże cały ów projekt wydaje mi się nieudolnym—w znacznej mierze. Wystaw sobie czytelniku, albo raczej, żebyć się nie obraził, to ja sobie wystawię, że podążam do twego sąsiada w celu pozbawienia go czterech pięknych cugowych koni, które po żonie i dzieciach stanowią największą jego chlubę. Jadę przez wieś: jakiś Bartek zachodzi mi drogę...

— A kto to?

Rzecz prosta, że tłumię wybuchy szczerości i wymawiam pierwsze lepsze słowo, np. felietonista.

Jeżeli potem nie zdejmie przede mną czapki i... nie przeżegna się—służę mu dalej.

— A skąd to, dokąd i po co?

Przypominam sobie ostatnie telegramy własne *Kuryera* i odpowiadam bez namysłu:

— Z Turynu do Medyolanu na ślub księżniczki Stefanii.

Stróż bezpieczeństwa przekonany, że i Turyn i Medyolan leżą nietylko w innej gminie, ale może i w innym powiecie, bo o nich nigdy nie słyszał—da mi święty spokój; jeżeli to jeszcze blagier, to mi opowie, że do Medyolanu—trzeba „za psim mostkiem skręcić na lewo.“

Pojmujesz, że jestem wolny i uwalniam konie twego sąsiada.

A teraz wyobraź sobie, że ty właśnie powracasz do swojej Wólki — z preferansa. Drzemiesz w najlepsze.

— Kto jadzie? — woła Bartek - pogromca.

Zrywasz się ze snu i palisz, jak w dym:

— Proste *kara*!

— Aha, a toś się asan złapał bez te senność! Właśnie co ta „kara“ zginęła Maciejowi wedle piątku.

Posyłasz chłopa do dyabła, każesz zaciąć konie i powracasz do domu; nie przeszkadza to jednak, aby nazajutrz policya, a właściwie miejscowy strażnik nie wpadał na twój „trop.“ Wyprowadzisz go z błędu, ale potem wyprowadzisz go na ganek i każesz biedakowi dać miarkę owsa, „bo się zmachał napróżno.“

Obecność stróżów nocnych, o ile zechcą zgwałcić swoją naturę—będzie, jak wszelki dozór pożądaną; ale w skuteczność owych indagacyj—nie wierzę.

W sposób bardziej szlachetny okradają nas z dobrych koni nasi niezbłagani lubownicy wyścigów. Sprawozdawcy z wystawy koni w Rosieniach uskarżają się na nich w prasie codziennej. Zamiast popierać energicznie hodowlę pożytecznej rasy żmujdzkiej—panowie ci urządzają estrady i tory. Tak jest: tory i wisty są hasłem dwóch głównych stronnictw śród ziemian niektórych okolic. Wyścigi konne w Rosieniach nietylko nie przyniosły żadnego pożytku, ale w nikim podobno nie obudziły wielkiego zajęcia, nikogo nie przekonały o dziejowem posłannictwie właścicieli ścigających się wierzchowców. Tembardziej więc mania kosztownej uciechy nas zadziwia. Przypuszczam, iż obok egoistycznej chęci zabawienia się panowie ci mają przecież jakiś im tylko wiadomy pożytek kraju na względzie. Ale jaki? Wszakże tak prędko nie będą jeszcze potrzebowali uciekać przed groźną marą pozytywizmu, materyalizmu i t. d.

A. Kord.

Łódź. Odbieramy następujące sprostowanie. *Dziennik łódzki* (nr. 15), opisując wypadek okradzenia tutejszego pensyonatu żeńskiego, nadmienił, że złodzieje mieli się uraczyć znalezionemi przy odejściu spirytualiami. Ponieważ doniesienie to powtórzyła *Prawda* i ponieważ ono rzuca niezasłużony cień na zakład wychowawczy, upewniam Was, że w opisie *Dziennika łódzkiego* prawdą jest tylko fakt kradzieży, wzmianka zaś o mniemanych libacyach — ostrym sosem, przyprawionym przez lekkomyślnego reportera, ażeby wiadomość nie była zbyt suchą.

Kijów. Pogoda u nas zmienna, jak na wiosnę. Lały deszcze, paliły skwary, znowu pochłodło, a wreszcie termometr podniósł się do +34° w cieniu, jakby słońce chciało dowieść, iż wcale nie myśli ostygnąć, iż my—nędzne robactwo wszechświata—nie zamarzniemy, i że się ziemia jeszcze nie wykoleja z niegdyś obranego toru.

To też i życie Kijowa posuwa się zwykłym swym torem: kto mógł, ten zdobył legalną kartę na letnie próżnowanie i wyjechał na „daczę“ do Bojarki, Kitajowa lub na wieś; kto zaś nie był tak szczęśliwym i w mieście pozostał ten zapadł w półdrzemkę, do której mimowoli pobudzają upały. Drzemią u nas wszędzie, śpią wszystkie ważniejsze projekty, nawet lombard i tramwaje. Młodzież ucząca się płci obojga rozsypała się po cudnej naszej Ukrainie, opuściwszy duszne mury; teatry i cyrki zamknięte, na ulicach pusto.

Nowin też ciekawych niewiele. Czasem jaki dom się spali lub pijak obwiesi; czasem przewoźnicy skąpią kogo bezpłatnie w nurtach Dniepru-Sławutycza, lub nawet rakom na śniadanie ofiarują, a wreszcie cisza i spokój błogosławiony, który zamącają od czasu do czasu *Kijewlaain* i *Zoria* wzajemnemi wymysłami, by przed 1 lipca odświeżyć w abonentach smutną o sobie pamięć.

Obecna, tak na pozór spokojna pora ma wszelako dla wielu rodzin ogromne znaczenie. Jest to pora dla ojców i matek kołatania do drzwi zakładów naukowych. Nie mamy gdzie kształcić dzieci! To wcale nie przesada; zwróćcie tylko uwagę na następne cyfry. Średnich zakładów męskich mamy kilka: 4 gimnazya, 4 progimnazya, szkołę realną, szkołę rzemiosł, duchowne seminaryum i korpus kadecki. Napływ jednak kandydatów jest tak wielki, a miejsc wolnych tak mało, iż dzieci oddawna już do szkół wstępują tylko po złożeniu konkursowego egzaminu, który naturalnie jest srozszym. Z liczby tych szczęśliwców, którym się powiodło, dyrekcya wybiera najzdolniejszych w takiej ilości, jakiej brak do kompletu. Oto rezultaty takich egzaminów w 2-m gimnazyum:

W 1877	zdało egz. konk.	231	nieprzyjęto	91	tj.	39%
„ 1878	„	169	„	66	„	39%
„ 1879	„	158	„	54	„	3C%
„ 1880	„	255	„	138	„	64%
„ 1882	„	231	„	153	„	66%
Za 5 lat	„	1044	„	502		

Jak widzimy, połowa zdolnych, dobrze przygotowanych do szkół dzieci, które potrafiły zadowolić wymagania osobnego egzaminu, nie znajduje miejsca w szkole; a wieluż to malców mniej zdolnych wraca do domu bez nadziei dojścia kiedy do tego zaczarowanego koła światła i nauki! Cyfry te nie są wyjątkowe; taki stan rzeczy jest u nas powszechnym. Podobny objaw zaczynamy odczuwać nawet w szkołach żeńskich.

Do najlepszych zakładów tego rodzaju zalicza ją tu gimnazyum ministerskie, w którem wykłady i wymagania są takież, jak w gimnazyach męskich. Lecz w tej szkole także od lat kilku zawsze brak miejsc i również wprowadzono tu egzamina konkursowe. Obecnie dyrekcya ogłosiła, że oprócz klasy przygotowawczej i V-ej, w innych niema ani jednego wakansu.

Dwa nasze wyższe zakłady: uniwersytet i „wyższe kursa żeńskie“ (dwa wydziały: przyrodniczo-matematyczny i historyko-filologiczny) także nad miarę przepełnione.

W ostatnich czasach uniwersytet z powodu zbliżającego się 50-cio lecia, ogłosił statystyczne dane o studentach za cały czas swego istnienia. Od r. 1834 w ciągu pierwszych lat pięciu było 1040 studentów, a z nich 426 prawosławnego wyznania, 591 katolików, 18 luteranów i 2 ży-

dów. Taki mniej więcej stosunek trwał dość długo, bo aż do r. 1862. Za sześć lat—od 1856 do 1862 na stu studentów przecięciowo było prawosławnych 40.5%, katolików 52,3% i żydów 3,3%. W ostatnich czasach stosunek zmienia się znacznie, od r. 1881 do 1883 prawosławnych było 66,2%, katolików 15,4% i żydów 15,5%. Smutne to cyfry, a jeszcze smutniejsze by były do nich komentarze.

Wybacz czytelniku, że cię niemi nudzę. Pojedźmy lepiej także na „daczę.“ Gdy miasto zamiera, wieś się ożywia. Kto by jednak sądził, że znajdzie to wiejskie życie na „daczy,“ mocno by się omylił. Spostrzeże on wprawdzie lasek, rzeczkę lub staw, kury i kaczki, a gdy wcześnie wstanie, spotka nawet wieśniaków z produktami dla „daczników,“ lecz to strona tylko zewnętrzna. Głębiej, w oddalonych wioskach, na łanie w dzień, w lesie nocą, tam w duszy chłopskiej dopiero znajdzie on życie prawdziwe, nie urojone. Jakżeż przyzwyczaliśmy się nic tam niedopatrywać, i jak otwieramy usta, gdy coś żywszego w oko nam wpadnie!

Jak w każdym kraju rolniczym, tak też i w naszym budzi się myśl włościanina na wiosnę razem z matką naturą, przedewszystkiem myśl o kawałku ziemi. Trapi go ona ustawicznie, nie daje mu spokoju, „ssie go pod piersiami,“ a czasem doprowadza do gwałtownych wykroczeń, bardzo dlań dotkliwych w swoich następstwach.

Dawna to a wiecznie nowa i żywotna kwestya. Dawna, jak światło kultury. „Ziemia tedy, woła Mojżesz w imieniu Boga, nie będzie sprzedawana na wieczność; bo moja jest ziemia, a wyście goścmi i przychodniami u mnie!“ Toż samo głosi ekonomista Lorentz v. Stein (*Die drei Fragen des Grundbesitzes und seiner Zukunft*), dowodząc, iż dla Europy pozostało tylko jedyne wyjście—oddać państwu wyłączne prawo własności ziemskiej. Chłop nasz nie słyszał Mojżesza, nie czytał ostatniej pracy niemieckiego uczonego, nie wie też nic o bilu Gladstona, a twierdzi jednak uparcie, że „zemla maty — boża zemla.“ Dotąd patrzy na większą posiadłość, jak na wyrządzoną mu krzywdę i głęboko jest przekonanym, że kiedyś rząd sprawiedliwie ziemię podzieli. Lecz kiedy to nastąpi? „Wydno szcze ne nastaw czas!“ Czeka więc cierpliwie i w żadne ugody z dworem wchodzić nie chce. Dziedzic ma wspólnie z włościanami kilkadziesiąt dziesięcin wygonu: ziemia ta leży odłogiem, nikt jej dla świętego spokoju używać nie chce. Proponuje dziedzic „gromadzie“ albo podział, albo spłaty, tłomacząc całą nierozwagę w zmarnowaniu ziemi. Wszystko naprózno. „Nechaj łeżyt'; jak mi podiłymaś, to bilsze wże zemli nam ne widriżut!“ „Pan“ chce rowem swe grunta odgraniczyć — nie znajdzie w wiosce kopaczów, a gdyby się ośmielił obcych sprowadzić, będzie miał gotowe zaburzenie.

Wiosna i pierwsza połowa lata corocznie darzą nas tu lub owdzie jakąś smutną sprawą agrarną, które władza umie podciągnąć pod pewne rubryki prawne: „nieposłuszeństwo władzy, gwałt, znieważenie urzędnika przy wypełnianiu obowiązku“ itd. Śmielsi albo płochliwsi mówią po cichu; „zaburzenie, bunt, hajdamacy!“ Wszyscy, słowem, albo naprawdę są zdziwieni, albo udają. W obecnym czasie gadają dziwy o buntach na Podolu, Korsuńszczyznie i Białocerkiewszczyznie. Z Korsunia powróciłem wczoraj i mogę zapewnić, że krwi rozlewu tam niema, co zaś do losu p. Branickiego, którego jakoby mieli włościanie dotkliwie poturbować, jak głosi od tygodnia plotka, nic powiedzieć nie mogę pewnego. Niepojmuję doprawdy, dlaczego z podobnemi sprawami kryć się należy i pozwalać róść baśniom i tworzyć ogół tajemniczo opowiadanemi dziwadłami, o których każdy świadomy położenia rzeczy człowiek może niestety tylko tyle odpowiedzieć: chociaż to u nas, przy naszych okolicznościach bardzo być może, jednakże, póki się nie przekonam, między bajki włożę.

Ces. N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 17 lipca.

Słusznie zauważono, iż środek ciężkości w polityce europejskiej coraz bardziej przenosi się po za granice Europy. W naradach gabinetu londyńskiego członkowie oglądają się co chwila na Egipt; rządowi francuskiemu sprawy chińskie spać spokojnie nie dają itd.

Tajemnice konferencyi londyńskiej zaczynają powoli przedzierać się do gazet a stamtąd i do szerszej publiczności. Doradcy finansowi pełnomocników proponują dla poratowania skarbowości Egiptu budżet nadzwyczajny na miejsce wymaganego przez Anglię — normalnego. W budżecie owym nowe źródła mają się otworzyć z podatków od dochodów i z monopolu tytoniowego. Pełnomocnicy, zwłaszcza dwóch mocarstw neutralnych, (Niemiec i Rosyi?) projekt ten, jak słychać, przyjmują przychylnie. Pierwiastkowa myśl rządą angielskiego ograniczenia rozpraw konferencyi do kwestyj wyłącznie finansowych prawdopodobnie utrzymać się nie da. Kiedy zaś państwa przystąpią do rozpatrzenia politycznego położenia Egiptu, wpłyną bez wątpienia na stanowisko anglików w tym kraju i zdemaskują dotychczasową ich dwuznaczną politykę. Wojska powstańców z każdym dniem bliższemi są zastępów angielskich, zajmujących bardzo dobrą pozycyę, i lada chwila może przyjść do poważnego spotkania.

Tymczasem w samym sercu Anglii niema zgody. Izba lordów pomimo wymagań rządu i opinii nie chce przedsiębrać drugiego czytania bilu reformy wyborczej. Kraj jest istotnie oburzony na swoich parów. Na meetingu liberalnym z d. 10 b. m. pojednawcze przestrogi p. Goeschena przyjęto z mdłem uznaniem, podczas gdy mowę Johna Brighta, żądającą ograniczenia prawa *veto*, piastowanego przez Izbę lordów, oklaskiwano z zapałem, a *Daily News*, organ p. Gladstone'a, nazywa tę Izbę nazbyt kosztownym zbytkiem angielskiego systemu politycznego. Ostatnie jednak posiedzenie konserwatywnych członków obu Izb z d. 16 b. m. orzekło, iż należy popierać Izbę lordów, jeżeli rząd nie zgodzi się na poprawkę, że bil wejdzie w życie dopiero po wniesieniu i przyjęciu przez parlament innego, *o nowym podziale kraju na okręgi wyborcze.*

Położenie Francyi nietylko pod względem politycznym, ale i ekonomicznym ciąglo się pogorsza. Dochody państwa zmniejszają się z zatrważającą szybkością. Do pogorszenia ogólnej sytuacyi przyczyniać się ma fakt, że komuniści w radzie municypalnej z coraz większą występują śmiałością.

Nagłe urwanie się całego ruchu handlowego i przemysłowego pod wpływem cholery wywołało przesilenie w sferze pracy. Tysiące robotników pożeranych głodem, uciekają się pod opiekę socyalistów. Powodzenia oręża francuskiego zakwestyonowane są smutną i krwawą przeprawą pod Langsonem, za którą rząd chiński dotąd nie przyrzekł żadnego wynagrodzenia. Z telegramów ostatnich wnosić można, że wojna jest nieuniknioną, gdyż „poseł francuski zażądał od Chin wycofania wojsk z Tonkinu. Najwyższa rada chińska wniosek ten uchyliła.“

Epidemia cholery nie słabnie. Do Marsylii przybyli ministrowie spraw wewnętrznych, handlu i robót publicznych. Z raportu prefekta widać, że 65,000 osób opuściło miasto. Robotnikom, z powodu stagnacyi grozi brak zajęcia. Uroczystość narodowa odbyła się dość spokojnie. Widmo zarazy przyćmiło jej barwy i zacieśniło granice. W dzielnicach arystokratycznych ruchu prawie nie było... Podczas uroczystości tłum uliczny zerwał godła niemieckie z hotelu Continental. Poseł francuski w Berlinie wyraził już rządowi niemieckiemu swoje ubolewanie z tego powodu, a lojalne pisma zagraniczne i nasze kipią świętobliwem oburzeniem; zapomniały, że inaczej się wyraża patryotyzm w redakcyach, inaczej — na ulicy.

CUDZE GŁOSY.

Z niedołęstwa galicyjskiego szydzi *Wiener Allg. Ztg.* nielitościwie. Równocześnie oddaje rządowi wiedeńskiemu, co jest jego. A należy się mu tym razem bardzo wiele za ostatnie powodzie, o których pisze gazeta niemiecka tak:

„Miliony mienia, zdobytego w pocie czoła, zniszczone — wiele tysięcy pracowitego i pilnego ludu głód cierpi — a oto będziemy czekali, dopóki przemądry sejm galicyjski nie narozprawia się dostatecznie, ażeby się dowiedzieć wreszcie, jakim zasiłkiem dopomódz ma państwo, gdy się okaże, że środki prywatne nie wystarczają. Zaprawdę, w żyłach galicyjskich patryotów płynie chyba krew rybia, gdy nie mają nic do powiedzenia przeciwko takiemu postępowaniu, kubek w kubek podobnemu do austryackiej procedury sądowej. Czyż bowiem głodni będą stąd syci, a rozpaczający pocieszeni, jeżeli im się powie, że sejm i Rada państwa zajmą się ich niedolą w drodze parlamentarnej? I czyż jest to objawem ludzkości ze strony nowoczesnego cywilizowanego państwa, czyż świadczy to choćby tylko o rozsądku politycznym? Zjakiegokolwiek stanowiska zapatrywalibyśmy się na podobne postępowanie, w żaden sposób ani pojąć, ani pochwalić nie możemy tego spokoju, z jakim prowadzoną jest dyskusya wobec bezprzykładnej katastrofy, zamiast żeby otworzono uciśnionemu krajowi bogate źródła całej monarchii.“

Policzek jest, ale rumieńca czekamy dotychczas nadaremnie.

Z powodu powodzi. *Nowoje Wremia*, opisując straszny wylew Wisły, dodaje taką uwagę:

„Wielkie klęski równają narody, gdyż w podobnych wypadkach wszystkie schodzą się w jednem ogólnem uczuciu ludzkiego współczucia dla niewinnie cierpiących. Naturalnie i w tym wypadku bratnia pomoc nie zaniedba wystąpić z ratunkiem dotkniętym przez powódź polakom. My z naszej strony chcielibyśmy tylko przez to powiedzieć tym, co przywykli odpowiadać na głos potrzeby bliźniego, że w tym wypadku jest potrzebna pomoc nietylko znaczna, ale i szybka. Poszkodowani dla odzyskania dobrobytu nie mogą poprzestać na samych wsparciach pieniężnych; potrzebują oni zużyć jeszcze wiele pracy i dokonać olbrzymiej roboty dla oczyszczenia i uprawy swoich zamulonych, zniszczonych i wogóle popsutych łąk i pól. Wszystko to trzeba zrobić przed nadejściem jesieni, w przeciwnym razie i na przyszły rok grozi im klęska niedostatku, głodu i braku pożywienia. Śpieszcież więc z konieczną pomocą dla poszkodowanych, pomnąc na słowa ewangelii: ręka, która daje: nie zubożeje.“

Przytaczając powyższy ustęp *Echo* petersburskie przyłącza doń swój komentarz:

„Godząc się zupełnie z tym dziennikiem, z jego ludzkiem zapatrywaniem na okropne istotnie położenie nawiedzonych nieszczęściem, nie możemy przecież powstrzymać się od wyrażenia pewnego zoziwienia, dlaczego tylko właśnie wielkie klęski mogą zbliżać narody rosyjski i polski.“

O PRAWDĘ.

Czytając kilkanaście pism warszawskich, przekonałem się, że nad Wisłą mają uader słabe, a częstokroć wielce fałszywe pojęcie o Litwie. Tu lub owdzie wystrychnie się od czasu do czasu jakaś wstydliwa korespondencyjka, upstrzona wystylizowanymi frazesami, lecz niemogąca się wyemancypować z zaklętego koła wiecznych narzekań na pogodę lub deszcz, drożyznę lub głód, ogień lub wodę, zabarwiona nudnymi morałami na zużyty temat o pijaństwie, lub grozą wykrzykników nad jakim czynem zbrodniczym. Koloryt miejscowy odnośnych sprawozdań jest stanowczo zatuszowany, tak, że mogą one równie dobrze fi-

gurować na szpaltach gazet p. n. „z pod Mińska," jak i „z Kozienic," „z Bobrujska" lub „Mławy."

A jednak wiadomo przecie, że Litwa ma swój odrębny charakter etnograficzny, swoje kwestye społeczne, rolne, ekonomiczne, lecz to *terra incognita*, do zbadania której jeszcze żaden Kolumb w Warszawie się nie narodził!... Łatwiej przecie ślizgać się po wierzchu, niż zgłębić nurty wirujące na dnie społecznego życia, niż rozgrzebać kurhan przeszłości dla uzasadnienia faktów współczesnych.

Zadanie to zapewne byłoby nieco trudniejsze od przepisywania wiadomości dotyczących Litwy z gazet rosyjskich, lecz—o ile wiem—prasa warszawska cieszy się znacznym kontyngensem prenumeratorów z za Niemna, powinno by więc to obowiązywać do wyszukania obznajmionych gruntownie z istotą rzeczy korespondentów, którzyby raz na zawsze przestali czernić bibułę drogo płatną wiadomościami równie nieresującemi, jak: że latem są upały, a zimą mrozy...

Zapewne, że, obwiniając prasę warszawską o brak zapobiegliwości i niewypłacalność z długu zaciągniętego wobec prenumeratorów litewskich, nie można też pominąć i nie zaznaczyć apatyi inteligencyi tamtejszej, która swą biernością i wstrętem do pióra upoważnia korespondentów polskich do czerpania z gazet rosyjskich, przekraczających nieraz o wiele granicę przyzwoitości.

O ile jednak z milczącą pogardą przechodzimy do porządku dziennego nad wrogiemi nam insynuacyami, o tyle boleśnie jest spotkać się z odnośnemi zarzutami w prasie warszawskiej.

Jeden z takich faktów wkradł się do *Prawdy*. W nr. 23 z b. r. jest króciuchna, lecz dotkliwa wzmianka o Towarzystwie zaliczkowo-wkładowym w Rakiszkach. Pan Nil skorzystał z korespondencyi wydrukowanej w rosyjskiej gazecie *Echo*.

Zarząd Towarzystwa zapewne sam zaprotestuje w *Echu*, ja chcę tylko zwrócić uwagę Szanownego Redaktora *Prawdy* i pana Nila, że w podobnych razach trzeba koniecznie mieć na uwadze, kto i dlaczego podobne korespondencye do rosyjskich gazet pisuje. Cała falanga goni i wietrzy dla popularności i zasługi w każdym najdrobniejszym fakcie odwieczną „intrygę" i popisuje się swym węchem czarno na białym.

Pochodzenie korespondencyi do *Echa* jest mi, jak i całej rakiskiej okolicy dobrze wiadomem o pobudkach zbyt wyraźnych. W miasteczku tym rezyduje pewien urzędnik, zamiłowany w donosach, których nie szczędzi nawet swoim kolegom. Otóż z dawien dawna solą w oku mu było Towarzystwo owe w Rakiszkach, bo naprzód zebranie ogólne włościan nie zaliczyło go w poczet swych członków, powtóre zaś, że zarządzanie kasą mającą do stu tysięcy obrotu rocznego byłoby co najmniej rzeczą bardzo wygodną.

Wygodną... ale... tylko jednostronnie...

Włościanie, którzy swe mienie tej kasie powierzają wolą kierunek okolicznych dwóch obywateli i jednego księdza, tembardziej, że ów pan urzędnik ma już pod swym dozorem takież same Towarzystwo „pierwsze" w tychże Rakiszkach, ale które, figurując na papierze, w rzeczywistości śladu swej egzystencyi nie daje. Gdzie się ono mieści, kto jest jego członkiem, ile ma obrotu rocznego — nikt w Rakiszkach nie wie...

A Towarzystwo „drugie" rozwija się pomyślnie, ukróca lichwę, budzi zaufanie u włościan... hejże więc na zarząd, tembardziej, że on obywatelski, które to miano jest niejako źródłem do harców na polu „samobytnego" patryotyzmu...

Szczegóły pomijam, to tylko szkielet całej tej sprawy, a sądzę, że redakcya *Prawdy* da chyba to zadośćuczynienie niesłusznie zelżonemu zarządowi Towarzystwa, i wyjaśnienie to moje zechce pomieścić.

Te. O.

Zamieszczając tę replikę, zwracamy nawzajem uwagę autora na następujące fakty: 1) nie jest winą prasy warszawskiej, że pomimo najusilniejszych starań trudno śród inteligencyi litewskiej znaleźć poważnych i uzdolnionych korespondentów; 2) nie mając źródeł własnych, musimy uciekać się do rosyjskich, czerpiąc głównie z tych, które są najmniej (jak *Echo*) zmącone złośliwą tendencyjnością; 3) jeżeli społeczeństwo chce, żeby objawy jego życia prasa sądziła sprawiedliwie, niech nie śpi, ale czuwa i dostarcza jej odpowiedniego materyału. Wtedy dopiero będzie można wejść na ambonę i wygłosić pismom ostrą naukę. *Red.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nadesłane. Szanowny Redaktorze! Osobom interesującym się koloniami letniemi dla biednych słabowitych dzieci tymczasową podaję wiadomość, iż instytucya ta, tak sympatycznie przez ogół nasz przyjęta, rozwinęła się w r. b. w sposób bardzo zadawalający. W obecnej chwili 99 dzieci płci obojej używa swobody wiejskiej i wdycha w siebie pełną piersią pokrzepiające i uzdrawiające a w tlen bogate powietrze.

Jest to rezultat świetny, gdy wspomnimy, że w zaprzeszłym roku od 54 dzieci zaczęliśmy i wyprzedziliśmy takie miasto jak Paryż, które się chlubi, że w zeszłym lecie dwie kolonie po 9 dzieci na wieś wysłało! Niemniej jednak liczba potrzebujących świeżego powietrza i proszących o wysłanie na wieś o wiele przewyższa podaną cyfrę. Ponieważ do końca lata jeszcze daleko a sierpień nadaje się doskonale do pobytu na wsi, moglibyśmy drugi sezon w tym miesiącu urządzić (cały pobyt trwa cztery tygodnie), gdybyśmy odpowiedniemi funduszami rozporządzali. Na nieszczęście od czasu klęski, jaką Wisła na kraj nasz sprowadziła, ofiarność publiczna na cel naszych kolonij znacznie się zmniejszyła i uskutecznienie zamiaru mojego byłoby niemożliwem, gdyby świeże składki nie przyszły nam w pomoc. Nie pożałuje małego datku ten, kto choć raz widział dzieci o wybladłych obliczach, o oczach zapadniętych, o wklęsłych piersiach, obrzmiałych na szyi i gruczołach; i kto wspomni tę masę małych istot, patrzących ze łzami w oczach i zawiścią w sercu na szczęśliwszych braci swoich, na wieś wyjeżdżających.

Wymaganie moje jest bardzo skromne. Żądam, żeby mi dano na podniesienie stanu zdrowia *ludzi* bardzo, bardzo małą cząsteczkę tego, co się rokrocznie na podniesienie rasy *zwierząt domowych* wydaje. Przyznajmyż ludziom choć część tych praw do naszej zabiegliwości i ofiarności, któremi tak sowicie zwierzęta obdarzamy.

Z uszanowaniem *Dr. G. Fritsche.*

Dla zapobieżenia zarazie właściwa władze wydała rozporządzenie, aby wszystkie zboża i trawy, zalane od niedawna powodzią, a obecnie gnijące na polach i łąkach, zostały stamtąd jaknajspieszniej usunięte i, w razie niemożności zużytkowania ich w gnojówkach, spuszczone do Wisły.

Szpital choleryczny. Na wypadek zawitania do nas niemiłego gościa, przeznaczonym będzie do użytku chorych szpital położony za wolskiemi rogatkami. Jest to największy z tego rodzaju zakładów w naszem mieście, gdyż mieści 150 łóżek. Pisma codzienne słuszną rohią uwagę, że dzielnica, w której się ów szpital znajduje, jest zaludniona zbyt gęsto i że, w razie potrzeby, należałoby urządzić lecznicę dalej—za miastem.

Na powodzian odbyła się w Piotrkowie zabawa kwiatowa. Dochód czysty 638 rs.

Opłaty szkolne i uniwersyteckie w państwie rosyjskiem wynieść mają w r. b. sumę 2,200,000 rs.

Stowarzyszenia. Ziemianie powiatu chełmskiego założyli, na wzór współobywateli hrubieszowskich, spółkę zbożową p. n. „pierwszej spółki ziemian chełmskich.

— W Łodzi urzędnicy rządowi i prywatni utworzyli stowarzyszenie spożywcze; dotychczas zapisało się 150 członków.

Przepisy o strzelnicach prywatnych mają podobno uledz znacznemu obostrzeniu. Biada duchowi rycerskiemu... graczów.

Towarzystwo obrony prawnej w Poznaniu wybrało zarząd, który się już ukonstytuował i z dniem 1 lipca rozpoczął swe czynności. Zadaniem Towarzystwa jest, jak wiadomo, odpieranie na drodze legalnej krzywd ludności polskiej.

Skupienie sił. Towarzystwo oświaty ludowej w Krakowie zawarło układ z Towarzystwem kółek rolniczych, na mocy którego wszędzie, gdzie istnieją czytelnie Towarzystwa oświaty, mają też powstawać i Kółka rolnicze, gdzie zaś te założono, Towarzystwo oświaty ma urządzić swoim kosztem czytelnie. W ten sposób czytelnie Towarzystwa ośw. lud. służyć będą celom Kółek rolniczych, które, statutem zobowiązane do zakładania czytelni i bibliotek, oszczędzony grosz obrócą na inne praktyczne cele.

Jubileusz. Serbskie Koło literackie w Nowym Sadzie (południ. Węgry) sławiło w ostatnich dniach czerwca jubileusz autorski dr. Jana Suboticza, prezesa „Maticy serbskiej," który od r. 1834 zajmuje jedno z pierwszych miejsc w gronie pisarzów serbsko chorwackich. Odznaczył się Suboticz jako dramaturg, krytyk, historyograf i publicysta. Jako poeta *laureatus* wsławił się i poza granicami swojej ojczyzny. Uroczystość urządzono na wielką skalę.

Porządek pruski. Redaktorowie *Orędownika* i *Gońca wielkopolskiego* w Poznaniu udali się w tych dniach do więzienia, pierwszy na miesiąc za obrazę ks Bismarka, drugi na sześć tygodni za przedruk wiersza Ujejskiego „Boga rodzica."

Kolonię letnią dla dziewcząt zakłada galic. Towarzystwo pedagogiczne w Lisowicach. Dla braku funduszów przyjęto na razie tylko 20 dziewcząt.

Akademia krakowska. D. 20 z. m. odbyło się posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego. Odczytano „Projekt ustalenia zasad słownictwa chemicznego," ułożony przez sekcyę chemiczno-farmaceutyczną zjazdu poznańskiego, ocenę pracy d-ra Wierzejskiego „O rozwoju pąków u gąbek słodkowodnych," opis „dzielikąta," narzędzia do dzielenia kątów, wynalezionego przez p. Kaz. Poniatowskiego w Petersburgu, pracę p. Beniasza p. t. „Oznaczenie wieku trachitów dr. Tietzego w Krzeszowicach," wreszcie komunikat dr-a Olszewskiego, donoszący, że mu się udało zmienić przyrząd do oziębiania gazów tak, iż z wyjątkiem wodu można teraz skroplić w nim wszystkie gazy. Zdał też sprawę dr. Wróblewski o „Nowym sposobie budowy zwojów do machin dynamo-elektrycznych" Abakanowicza, a prof. Rostafiński podał tymczasową wiadomość „O narkotycznem działaniu kwasu pruskiego na mikroskopowe rośliny i zwierzęta, oraz o jego własnościach antiseptycznych." Sprawozdanie z innych prac odroczono do następnego posiedzenia.

Na sposoby biorą się... niemcy, spostrzegłszy, że bezwzględna germanizacya nie rychło doprowadziłaby do celu. Jakieś „Towarzystwo ua wydawanie książków nabożnych w Wipperthalu" puściło właśnie w świat broszurkę p. t. *Marcin Luter, Doktór słowa Bożego, Reformator wielebny, czyli opis życia Dr. M. Lutra, ułożony w Lutroksiążce przez Dr. Wangemanna. Barmen, drukarnia S. F. Steinhaus.* Towarzystwo wspomniane wydało już więcej tego rodzaju książeczek a rozsyła je darmo. Ty zaś śpisz „Macierzy polsko!..."

Dla „cierpiących za wiarę" galicyan asygnowało dotychczas słowiańskie Towarzystwo dobroczynności w Petersburgu ogółem 2287 rs. Zrachował *N. Prołom* we Lwowie.

Wychodźtwo z Bośnii i Hercegowiny. Dawni panowie kraju—muzułmanie—niezadowoleni z nowych porządków, emigrują pod berło padyszacha. Rząd turecki osiedla ich w Palestynie w pobliżu ruin Caesarei rzymskiej.

Wykopano na Podgórzu pod Krakowem w warstwie dilluwialnej dwa kły mamuta (dług. 2.5 metra) tudzież inne kości tego zwierzęcia.

Zmarli: Włodzimierz Milowicz, znany publicysta, b. redaktor *Ojczyzny*, a obecnie sekretarz banku krajowego—w Krakowie.

— Wiktor Massé, kompozytor francuski—w Paryżu.

OFIARY.

Dla powodzian. Stanisławski z Kijowa rs. 5; S. Kontkiewicz rs. 3, Roszczewski rs. 3 i Budrecki kop. 50 — studenci z Charkowa; Bolesław Łada ze Starokonstantynowa rs. 1 k. 50, Peliski z Petersburga rs. 9 kop. 50, W. L. rs. 1, Bezimienne kop. 50.

Na wpis dla uczniów. Wygrane w karty w fermie Step rs. 2 kop. 60.

Dla biednej wdowy. Bezimienne kop. 50, F. Z. rs. 1, A. M. rs. 1, K. S. rs. 5, X. X. rs. 1, Bezimienne rs. 1.

Dla studentek polek w Petersburgu. Marya Stanisławska z Ilińiec rs. 2, J. B. kop. 50, od panien X. rs. 2.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Іюля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.